WIDNOKRĄG

24 (726)
14 CZERWCA
1983 r.
RZESZÓW

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Jan Szelc

RZEKI

gdzie wieś szła
tropem drwali w las
teraz orgie traw
zielone rozhukanie

nad łąkami
kania rozwiesza mgły
wiatr odarty z ptaków
w głuchych sadach żebrze

Rzeki — targowisko wód
uroczysko piorunów
ścieżek zwierzęcych skrzyżowanie

tu burze wędrowne
otwierają pękate wory chmur
żeby potoki utuczyć
a kalina wabi sarny
pod pysk bezpańskiego psa

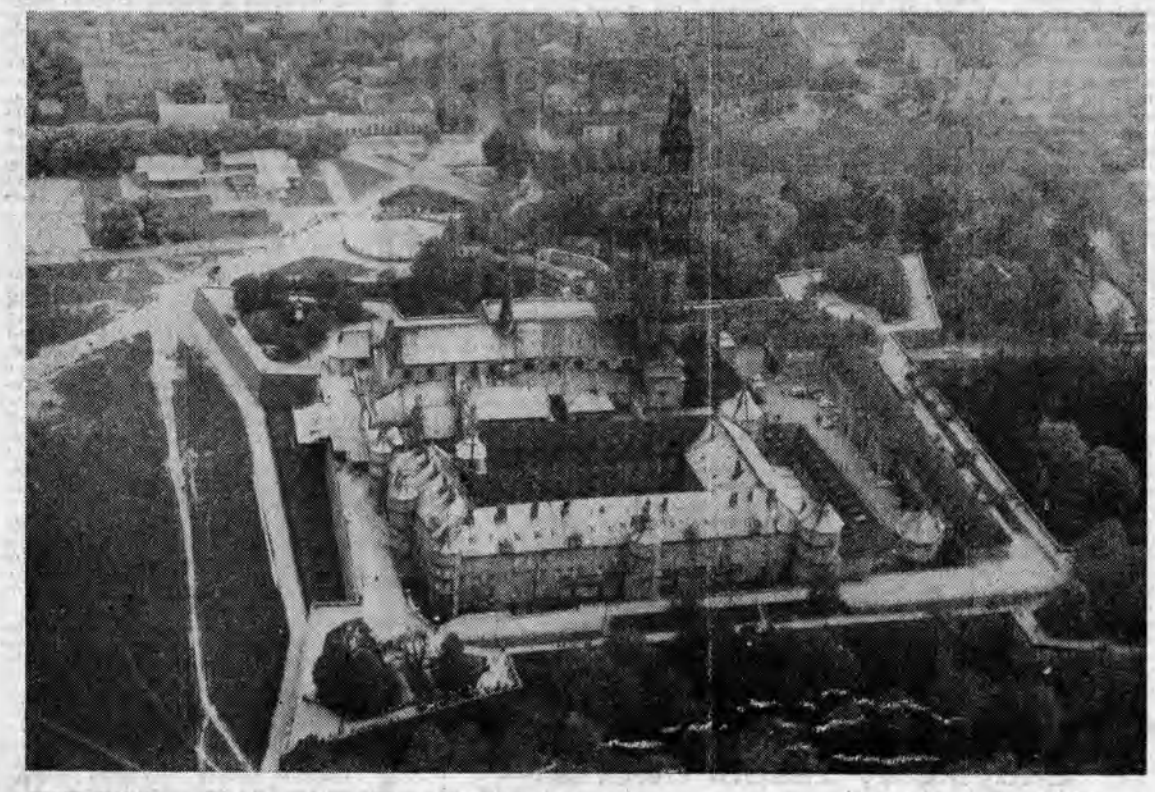

CZĘSTOCHOWA — klasztor na Jasnej Górze widziany z lotu ptaka.

CAF — Andrzej ŁOKAJ

Franciszek Ceglak

Wyznawanej

coraz częściej w nas dal
otwartą stoi sceną
coraz częściej w samotność
pochyla się wierzba

ptaki naszych rąk
odleciały z tej Rzeki
hen poza Miasteczko

jeszcze oczy
rozpalają czerwienie tamtych słońc
których ni ująć
ani też wygasić

o Rzeko
niezmienna Wielka Wodo
więc piękno zmagań
i wiotka pajęczyna glorii

za każdym zaułkiem
cień bywa i blask
niekiedy krzyk nagły
gdyż trudno w ramionach
zamknąć przesypujący się piach
bo przecież
nie wszystko co dobre osiągniesz
nie wszystko co złe wyssiesz

jednakowo dopełnia się kielich
ten długi przerywnik nocy
gdzie giną ślady i lotu zuchwałość

pozostają
zimne krawędzie znaczeń
i upływ dat

Krystyna Świerczewska

RUCH ŻYWEJ MOWY

To było wtedy, gdy Celina Hellerowa na parę dni przed powstaniem zdecydowała się opuścić Warszawę. Dojechali z mężem do Krakowa — schorowany mąż znalazł się w jednym szpitalu, ona, rodząca przedwcześnie — w drugim. Sami. Bez rodziny, bez przyjaciół. Bez dachu nad głową.

Z parodniowym dzieckiem, które żarły pluskwy, znalazła się w przytułku. Za sprzedany medalik kupowała dziecku mleko. Zupełnie obca kobieta zaproponowała jej dach nad głową w ciasnym, jednopokojowym mieszkaniu na Sławkowskiej. Tam po trzech miesiącach zmarło dziecko. Tam wrócił ze szpitala mąż. I tam zdarzyło się to bombardowanie, o którym pisze w pamiętniku:

„A kiedy tuż przed zakończeniem wojny losy rzuciły mnie do Krakowa, poznałam dwie staruszki okaleczone reumatyzmem, które znoszono na czas alarmu lotniczego do piwnicy. Były to siostry, kulturalne panie, a jedna z nich była kiedyś aktorką. Ze łzami w oczach była aktorka siedząc w fotelu inwalidzkim drżącym, ale czystym głosem zaczęła wtedy recytować fragment z poematu „Poeta i natchnienie" Słowackiego. I wszyscy zapomnieli o bombardowaniu, grozie chwili, młodzie i poniewierce, a przy wątłym płomyku świecy płynęły krzepiące słowa:

„... O tak! nim ja w śmierć Ojczyzny uwierzę,
Chociażby jak trup w grobie leżąc zbrzydła,
Potargam wprzódy ją pieśnią za pierze,
Porwę ją wprzódy na pieśniane skrzydła..."

— I tu przerwał jej zdławiony szloch. Szczęśliwa, że umiem ten wiersz podjęłam za nią:

„porwę ją z ziemi, tak jak wicher bierze,
Stargam łańcuchy wszystkie, wszystkie sidła,
Podniosę w niebo, aż gdzie Pan Bóg świeci,
Puszczę... jeżeli żywa — to poleci".

I wszyscy uwierzyli w swoją moc, słuchali jak zaczarowani, nie zwracając uwagi na bliskie detonacje bomb. Do końca wojny zbierali się lokatorzy naszej kamienicy w dużym pokoju na I piętrze, u naszych staruszek, świadcząc im przy okazji różne usługi i uczestnicząc w wieczorach poetyckich przy świecach. Czytałyśmy wtedy poza poezją fragmenty dramatów naszych pisarzy, a potem śpiewało się cichutko pieśni patriotyczne i było tak jak w kościele: wszyscy wychodzili cisi, skojeni, jakby uodporniені na okropności wojny. Wracali do trudnego życia z odrobiną chociaż słonecznego nieba w duszy, pomimo że nad głowami wisiały czarne chmury. I wiem, że to co dokonywało się wtedy między nami „aktorkami" i słuchaczami, było najprawdziwszym spełnieniem definicji teatru — „w czasie tworzenia aktorskiego działają dwie siły, jedna płynie od twórcy, druga od odbiorcy. Nie ma innej sztuki, w której by zbiorowo i na gorąco odbierało się wrażenia artystyczne w czasie ich powstawania".

CELINA HELLER — „Teatr Moja Miłość" II nagroda na pamiętnik twórców i działaczy teatru amatorskiego w ogólnopolskim konkursie TKT, Min. KiS i LSW.

Ten pierwszy fragment dziennika wyjaśnia, czym jest poezja i jak się z nią obcuje.

Pani Celina Heller umie obcować z klasykami, z Baczyńskim, który byłby drugim Słowackim. Nie umie obcować z Różewiczem, z teatrem Mrożka, ni Gombrowicza.

Jestem niemodna — powie — nie dorosłam do nowoczesności. Ja wiem, niejasno przeczuwam, że to co u Mrożka i Gombrowicza — jest na pewno wielkie. Ale jednocześnie jest mroczne, nie chce się dla mnie otworzyć. Zresztą czy ja nie mogę robić sobie teatru przy pomocy klasyków, może niemodnego teatru, jeśli Słowacki czy Szaniawski są niemodni. Nie można robić bełkotu; ja niestety nie trawię konwulsji na scenie, darcia papieru pakowego, jęków, szelestów, drgań ciała rozpiętego na podłodze. Kiedy są takie działania nagradzane, a przecież są, to mówię sobie: jesteś spóźniona.

I kiedy po bożemu mówiłam poezje Baczyńskiego, ze średniówką, bo to jest napisane ze średniówką, w tamtym konkursie, gdzie byłam najstarszą uczestniczką, jeden z jurorów, aktor zawodowy, powiedział:

— Proszę pani w ruchu recytatorskim dzieje się wiele nowego, a pani z tą średniówką, z tym patosem jakoś pozostała w tyle...

Stałam jak biedny żak na rozżarzonych węglach.

I wtedy odezwał się Julian Przyboś:

— A ja pani gratuluję, bo to co usłyszałem, ten piękny, czysty, niewynaturzony wiersz, ze średniówką — to właśnie jest Baczyński. I jest to ruch żywej mowy.

Więc są opinie rozbieżne i zresztą nie o to idzie, by podobać się jury, ale by mówić wiersz i wierzyć w słowo mówione. Tylko skoro robi się teatr z młodzieżą gdzieś w Boguchwale, zajmuje się czas tej młodzieży, przepchnie przez eliminacje niższego szczebla, a potem w województwie oni usłyszą, że są staroświeccy — traci się autorytet i zarabia na rozgoryczenie. Więc niby nieważne te opinie, a przecież łatwiej, gdy są dobre.

„Mijają lata. Kiedy spotykam w okresie wakacji „moich aktorów", dziś już rozsianych po całej Polsce studentów wyższych uczelni, z satysfakcją stwierdzam, że nie wygasa w nich zaszczepione zamiłowanie do obcowania ze sztuką; — „Przyjdę do pani — mówi „dziewczyna z róża", studentka Akademii Medycznej w Lublinie, która po ciężkim roku wytężonej pracy chce zaczerpnąć świeżego oddechu. — „Poczytamy sobie wiersze porozmawiamy o nowościach teatralnych" — i przypomina mi się mały Mirek, który przyszedł kiedyś do mnie, do domu, prowadzony za rękę przez matkę i nieśmiałym głosem poprosił o przygotowanie go do konkursu recytatorskiego. Miał wadę wymowy, ale był pracowity i uparty w dążeniu do celu; skończył studia aktorskie i już w tym sezonie wystąpił na deskach sceny Teatru im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie"...

„Teatr moja miłość"

Niełatwo jest pracować w podmiejskim środowisku. Gdy Celina Heller złamała nogę i półtora roku wyłączona z życia, na nowo uczyła się chodzić o kuli — teatrzyk „Motyw" rozpadł się. Bynajmniej nie zrezygnowała. Przeprowadziła którąś tam z rzędu akcję werbunkową i na jego miejsce powstał teatrzyk dziecięcy, w którym wystawiła „Słowika" Brylla.

Jest ich dziesięcioro, bawiących się w tę zabawę. Czasem trzeba przełamać opory rodziców i wyprosić przyjście na próbę. Czasem zrezygnować w ogóle z takiego, któremu się znudziło być niedzielnym aktorem.

Pani Celina z sentymentem wspomina to słynne andersenowskie „Krzesiwo", gdzie było ich bez mała trzydzieścioro i powiększać musiała orszak dam dworu, żeby całe towarzystwo zatrudnić.

Dziś ta dziesiątka zagrała w Ropczycach; wracali późnym wieczorem, nie przyjęci w Niedźwiadzie, bo ludzie w polu nie mieli czasu na zaplanowany bez sensu, w środku dnia spektakl. W Ropczycach było jednak świetnie i trzeba pamiętać sukces, a nie porażkę.

Przecież w przedstawieniu nie idzie o to, by je grać, ale najpierw idzie o przygotowanie, o próby, o zbiorową pracę, o pokonywanie wysiłku, o oduczenie jąkania się, zjadania końcówek, o ruch żywej mowy.

A że poezja jest dobra na wszystko? Tu należy dać fragment z sanatorium przeciwgruźliczego:

„Przerzucam fotografie. Wpada mi w ręce zbiorowe zdjęcie grupy młodych ludzi. Przypatruję się twarzom utrwalonym na fotografii; radośni, roześmiani, obładowani kostiumami i różnymi rekwizytami, szczęśliwi aktorzy — amatorzy po występie. I któż by uwierzył, że to pacjenci sanatorium przeciwgruźliczego. Przebywałam tam w 62 r. przez okres paru miesięcy. Było mi wtedy bardzo trudno wziąć się w garść. W domu została rodzina, dzieci wymagające opieki, a ja musiałam leżeć bezczynnie godzinami i wsłuchiwać się w odgłosy przyspieszonych oddechów i kaszlu, który po drewnianym pawilonie rozlegał się jakoś dziwnie donośnie; zdawało mi się wtedy, że to kaszlą ściany i drzewa za oknami — wszystko. Moje towarzyszki niedoli, młode dziewczyny wypełniały sobie czas robotą na drutach i opowiadaniem sprośnych kawałów, kaleczące naszą mowę, lub wiodły niekończące się rozmowy na temat choroby i z drżeniem śledziły słupek rtęci w termometrze. Pomyślałam wtedy, że tu właśnie trzeba „nieść ludziom radość słonecznego nieba" i samej przez to otrząsnąć się z przygnębienia, aby szybciej wrócić do zdrowia. Zaczęłam czytać im na głos dobre książki, mówić wiersze i wreszcie, na co trzeba było uzyskać specjalną zgodę lekarza naczelnego — przygotowywać imprezę. Kierownictwo sanatorium wychodziło z założenia, że taka praca i związane z nią emocje, przeszkadzają w leczeniu. — Mieliśmy do dyspozycji salę widowiskową, no i codzien-

(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

Zbigniew Krempf

DZIENNIKARZE I LITERACI

DWA WYDARZENIA, OBEJMUJĄCE tylko dwie grupy zawodowe, liczące w sumie może nieco ponad 10 tys. osób, wydają się ważne dla naszego kraju.

Pierwsze wydarzenie to I Zjazd Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL. Zakończył się tydzień temu, sprecyzował rolę Stowarzyszenia i dziennikarskie powinności wobec czytelników, radiosłuchaczy i telewidzów; wybrał władze organizacji. Nie nad przebiegiem Zjazdu chcę się jednak zatrzymać, lecz nad przemówieniem gen. Jaruzelskiego, które zrozumiałem jako wykładnik stanowiska władz państwowych wobec problemów informacji, wobec opinii publicznej i jej wpływu na proces nie tylko stabilizacji, ale także na tworzenie nowych praktyk w życiu społecznym i politycznym kraju.

Ustami I sekretarza partii i premiera władza potwierdziła to, iż „żaden urząd centralny nie uchodzi za wcielenie nieomylności. Zainteresowanie opinii objęło i takie resorty, które jeszcze niedawno znajdowały się poza jej zasięgiem". I dalej: „ale są jeszcze zahamowania. Dziennikarze, zwłaszcza z terenu, nadal napotykają przeszkody w dostępie do informacji. Zdarzają się również trudności w publikowaniu krytycznych materiałów".

Wiemy coś na ten temat. Kiedy gdziekolwiek zjawia się dziennikarz, traktowany jest w pierwszym rzędzie jako potencjalny „laurkopisarz". Oczekuje się od niego, że podkreśli zasługi, uwypukli osiągnięcia, ba, wyrazi nawet zachwyt. Jeśli okazuje się, że przybył, bo zasygnalizowano mu nieprawidłowości, niegospodarność, indolencję, arogancję wobec ludzi itp. — wówczas staje przed murem. Nagle nikt z kompetentnych nie ma czasu z nim rozmawiać, nagle ktoś jest nieobecny, a tylko ten ktoś może z dziennikarzem rozmawiać, bo swoim podwładnym tego zakazał. Są oczywiście wyjątki...

Mówił dalej generał: „pragnę stwierdzić jasno: nie będzie powrotu do czasów minionych. Minister i prezes, dyrektor i urzędnik państwowy, nie ma powodu uchylać się przed informowaniem dziennikarza o wszystkim, co nie jest objęte ustawową tajemnicą. Na odwrót — powinien zdawać sprawę opinii publicznej z tego, co robi, jak robi i dlaczego tak właśnie robi. Będziemy łamać opory wobec krytyki i odradzające się stale bariery informacyjne".

Takie stwierdzenia padały już nieraz z ust członków najwyższego kierownictwa, tylko dziwnie nie docierały do adresatów. Chcę wierzyć, że teraz dotrą, że nie będzie pielęgnowana zasada „Pan Bóg wysoko, car daleko". Jasno określone musi być pojęcie „ustawowej tajemnicy", bo przecież, licząc na niewiedzę dziennikarza i zasłaniając się jakąś bliżej nieokreśloną ustawą, łatwo odmówić odpowiedzi na drażliwe pytania.

„Polsce potrzebne jest dziennikarstwo uczciwe i odważne, a przede wszystkim głęboko współodpowiedzialne za losy kraju — padło następnie. — Kto żąda, aby dziennikarz był tylko swego rodzaju tubą wzmacniającą — ten niewiele pojął z lekcji końca lat 70-ych. Powinnością dziennikarza jest odzwierciedlanie opinii społecznej. Nie bezkrytyczne, powierzchowne rejestrowanie tego, co „ludzie mówią", bo w Polsce mówi się różne rzeczy, lecz podejmowanie spraw i problemów o rzeczywistej doniosłości...".

Wiemy o tym, powinniśmy wiedzieć, powinniśmy to w praktyce stosować. A zatem, i tego zapomnieć nie wolno, brzemię odpowiedzialności za informowanie społeczeństwa, za wyrażanie i kształtowanie opinii rozłożone jest równomiernie: na informatorów i przekazujących informacje.

Sporo miejsca poświęcił gen. Jaruzelski „podstawowemu instrumentowi życia publicznego — językowi polskiemu", apelując, „niech z łamów naszej prasy, z anten radia i telewizji znikną wreszcie żenujące błędy gramatyczne, koślawe imiesłowy, a przede wszystkim ubogi żargon, uwłaczający bogactwu i urodzie polszczyzny".

Dostało się więc i nam, dziennikrzom. Dostało całkiem słusznie, bo w pośpiechu często zapominamy, iż zubażamy język polski, zamiast go wzbogacać.

Cytowałem tak generała, cytowałem i zdawać by się mogło, że oto powołuję najwyższy autorytet, głoszący kanony, jakie powinny obowiązywać, aby się przypochlebić, podkadzić, stworzyć obraz człowieka, który o wszystko sam się „własnoręcznie" troszczy. Otóż nie. Chcę przypomnieć słowa, wypowiedziane na dziennikarskim forum, gdyż uważam, że powinny one stanowić o praktyce dnia powszedniego, praktyce obowiązującej wszystkich w przemówieniu wymienionych i nie wymienionych. Przypominam je też dlatego, aby móc mówcę „złapać za słowo", jeśli zajdzie taka konieczność.

Oby taka konieczność nie zaszła. Chciałbym wierzyć, że łamane będą opory wobec krytyki i odradzające się stale bariery informacyjne. Wiem jednak, że sama wiara tu nie wystarczy; że liczyć się będą fakty i tylko fakty.

Drugim wydarzeniem, któremu chcę poświęcić nieco uwagi, jest zapowiedziane na jutro zebranie Zarządu Głównego zawieszonego Związku Literatów Polskich. Od chwili zawieszenia jego działalności trwały dyskusje — publiczne i kuluarowe — na temat losów organizacji pisarskiej. Padało w tych dyskusjach wiele uwag, wiele postulatów, często słusznych, czasem wręcz bzdurnych i wyraźnie środowisku pisarskiemu wrogich. Emocje, wzajemne pretensje, insynuacje i słuszne zarzuty, odgrywanie się za rzeczywiste i domniemane krzywdy, wycieczki personalne, mieszanie z błotem całego środowiska przez niektórych „felietonistów" — wszystko to stwarzało niemal gorączkową, a na pewno niezdrową atmosferę, która nie szkodziła wyłącznie pisarzom i ich Związkowi, ale także całej literaturze, a więc i kulturze polskiej.

Dobrze się stało, że Zarząd Główny otrzymał zgodę władz na jutrzejsze posiedzenie. Chcę wierzyć, że przyniesie ono wyniki umożliwiające naszemu Związkowi podjęcie statutowej działalności, której nie zastąpi przecież działalność komisarzy i komisji socjalnych.

Oby pisarze — członkowie Zarządu Głównego ZLP — znaleźli wspólną formułę gwarantującą udział Związku w kształtowaniu polityki kulturalnej, w zapewnieniu pisarzom godnych ich społecznej rangi warunków życia i pracy.

Bogdan Biskup

„JASIELSKIE OKÓŁKI" PO RAZ SZÓSTY

Po dwóch latach przerwy Jasło znowu gościło kapele ludowe, śpiewaków i instrumentalistów z różnych regionów kraju. Tamtejszym działaczom udało się zorganizować kolejny, szósty już festiwal znany pod nazwą „Jasielskie okółki". I chwała im za to, gdyż festiwal stał się jedną z najważniejszych imprez folklorystycznych w naszym regionie i dołączył do tak renomowanych festiwali, jak te w Kazimierzu czy w Płocku, zachowując oczywiście swoją odmienność, która stanowi cały sens jego istnienia.

W VI Festiwalu wzięło udział 413 wykonawców. Zaprezentowały się 33 kapele ludowe, a z indywidualnymi popisami wystąpiło ponad 40 śpiewaków i instrumentalistów. Było więc na co popatrzeć i czego posłuchać. Przekonali się o tym wszyscy jaślanie, którzy nieprzerwanie towarzyszyli festiwalowym prezentacjom, nagradzając kapele, zespoły pieśni i tańca oraz solistów serdecznymi brawami. Nie wiem kogo bardziej należało podziwiać za wytrzymałość — wykonawców czy słuchaczy, gdyż upał był niesamowity. Po sobotnim 4 VI maratonie, który trwał od 9 do 21 chyba i jedni, i drudzy mieli dosyć. Okazało się jednak, że w dniu następnym, kiedy występowali wykonawcy nagrodzeni przez komisję artystyczną festiwalu, wszyscy byli w pełnej kondycji.

Warto przy okazji powiedzieć, że festiwal nie odbył się, jak to przedtem bywało, na jasielskim rynku, lecz przed Jasielskim Domem Kultury. Uważam, że pomysł był dobry, gdyż znacznie ułatwił pracę organizatorom, o czym świadczy choćby sprawny przebieg festiwalu. Miał on (tzn. festiwal), co również warto podkreślić, interesującą i funkcjonalną oprawę scenograficzną, która została nawet zaakcentowana przez obsługującą „Jasielskie okółki" ekipę telewizyjną. A propos ekipy TV. Dobrze się dzieje, że przyjeżdżają, nagrywają itd., ale nie da się ukryć, że niejako mimowolnie wywołują pewne zamieszanie, a u wykonawców grę „pod telewizję". I trudno coś na to poradzić, gdyż tak źle i tak niedobrze.

Jasielski festiwal ma okółkę w nazwie. Sądzę, że nie zaszkodzi przypomnieć, iż okółka to jeden z oryginalnych elementów obrzędu weselnego żywotny na Pogórzu i w regionie jasielskim. Okółkowe przyśpiewki, zadziorne, niekiedy swawolne i najczęściej improwizowane były adresowane do gospodarzy, państwa młodych lub innych gości weselnych. Wysłuchaliśmy ich na VI Festiwalu sporo, co także należy policzyć na jego plus. Najwyżej komisja artystyczna oceniła te, które wyśpiewał Zespół Regionalny z Cieszyny (woj. rzeszowskie). Zespół ten po raz pierwszy pokazał się na festiwalu, lecz za to od najlepszej strony. Zachwycił wszystkich świeżością i naturalnością, znakomitą kompozycją poszczególnych elementów widowiska.

Oto co powiedziała **Krystyna Majewska**, szefowa zespołu z Cieszyny, bibliotekarka: „Mój ojciec grał po weselach, dużo mi o tym opowiadał, przypominał tańce i rozmaite przyśpiewki. Pomyślałem, że trzeba to jakoś wykorzystać, bo przepadnie. W 1978 roku udało się założyć przy Kole Gospodyń Wiejskich Zespół Regionalny, któremu patronuje GOK we Frysztaku, repertuar był już dla niego gotowy. Jeszcze trochę się dozbierało po najstarszych cieszynianach, w okolicznych wioskach i można było występować. Braliśmy udział w konkursie „Praca w obrzędach i zwyczajach ludowych" oraz w konkursie na tradycyjny taniec ludowy w Rzeszowie. Nagrodę jasielskiego festiwalu przyjęliśmy z ogromną radością, prawdę mówiąc nie spodziewaliśmy się takiego sukcesu, a ja szczególnie, gdyż do pracy z zespołem nie mam przecież fachowego przygotowania, tylko serce i chęć zachowania tradycji naszych rodziców".

Bardzo dobrze wypadły również zespoły z Błażowej i ze Strzeszyna (k. Biecza). Regionalny Zespół „Strzeszynianki" występował w Jaśle nie po raz pierwszy, zmienił się jednak tak bardzo, że trudno było go rozpoznać. Przede wszystkim wzbogacił się o kapelę, świetne męskie głosy. Przedstawił zaś pełen prostoty i świetnie opracowany program, który mógłby stanowić przykład godny naśladowania, gdyż zawierał nie tylko najważniejsze elementy obrzędu, ale oddawał też jego treść i klimat.

Chciałbym zwrócić jeszcze uwagę na kilka zjawisk, które festiwal ujawnił. Wspaniałym, o przepięknej barwie głosem popisał się na festiwalu **Michał Czuchran**, mieszkający obecnie gdzieś w pobliżu miejscowości Strzelce Krajeńskie (woj. gorzowskie) a wywodzący się z regionu jasielskiego. Nie zabrakło też na VI Festiwalu cymbalistów: **Władysław Chochołek** z Jasła i **Władysław Rybka** ze Skołyszyna występowali nawet ze swoimi młodziutkimi uczniami. Duże zainteresowanie wzbudziła gra na rzadko dziś spotykanych instrumentach — okarynie i harmonii-pedałówce. Podobali się publiczności **Pudełkowie z Siedleczki**, którzy ciągle wzbogacają swój repertuar o nowe, współczesne przyśpiewki. Tym razem wykonywane one były przez jedną z najmłodszych uczestniczek festiwalu 5-letnią **Sabinę** i 7-letniego **Mariusza Pudełko**. W festiwalowym koncercie wzięła też udział muzykująca rodzina **Młodyków z Pstrągówki**, która niestety będzie musiała jeszcze dużo popracować, by zdobyć aplauz słuchaczy. Interesujący, przynajmniej dla przysłuchujących się koncertom jaślan, był również występ zespołu „Żytnioki" z Zaczernia. Pokazał on, jak można wykorzystać folklor do realizacji widowiska typowo estradowego, i uczynił to w sposób bez mała profesjonalny (dobrze opracowany, zwarty program i dobre wykonanie). Był to zresztą jedyny zespół, który bisował. Że nie znalazł się na liście nagrodzonych, zawdzięcza zaś tylko temu, iż po prostu nie mieścił się w regulaminowych ramach festiwalu. Gorącymi brawami nagrodzili jaślanie występy zespołów będących gośćmi VI Festiwalu: Zespół Pieśni i Tańca ze Starej Lubowni (Czechosłowacja) oraz Zespół „Promni" SGGW AR Warszawa.

A tak ocenia VI Festiwal **Anna Szałaśna** z Instytutu Sztuki PAN, członkini komisji artystycznej, wierna „Jasielskim okółkom" od ich początków: „**Festiwal jest niewątpliwie ważny dla tego regionu, jest potrzebny zespołom, którym daje bodziec do dalszej pracy i chyba publiczności, która — co obserwuję na każdym festiwalu — kocha ludowy taniec, muzykę i śpiew. Miłym zaskoczeniem były dla mnie w tym roku występy zespołów z Cieszyny, Błażowej, Strzeszyna. Z ogromnej formy — wesela, najczęściej niestrawnej jako widowisko w całości, potrafiły wybrać te elementy obrzędu, które oddają wiernie zarówno jego treść jak i klimat. Podziwiam zwłaszcza ogromną umiejętność łączenia poszczególnych elementów widowiska w spójną całość. Podobały mi się także tańce zespołów z Gaci Przeworskiej i Trzcinicy, które pokazały to, co najbardziej typowe dla ich regionu w prostej, niewyszukanej formie scenicznej, przez co przyciągały widzów swą naturalnością, łatwo nawiązywały z nimi kontakt, porywały do wspólnej zabawy. A teraz kilka słów o tym, co moim zdaniem było złe. Ciągle się o tym mówi, ale jak widać bez skutku, skoro w tegorocznym festiwalu znowu pokazały się kapele z akordeonistami. Są to kapele reprezentujące regiony, w których akordeon nigdy nie występował i na to nie mogę nie reagować, gdyż niewłaściwy, niezgodny z tradycją zestaw instrumentów jest podstawowym mankamentem kapel**".

VI Festiwal zatem za nami. Jego organizatorom należy życzyć, by następny był równie udany, by ponownie zainteresowali się nim dawni protektorzy, by towarzyszyły mu, podobne tegorocznemu imprezy: kiermasz sztuki ludowej, festyn robotniczy, **biennale sztuki ludowej regionu jasielskiego** (wystawa pokonkursowa) czy wystawa strojów ludowych ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Jaśle.

I jeszcze wyniki festiwalu. Komisja Artystyczna pod przewodnictwem znanego folklorysty red. **Mariana Domańskiego** przyznała: nagrodę wojewody krośnieńskiego **Regionalnemu Zespołowi Folklorystycznemu** Ośrodka Kultury w **Błażowej** — za tradycyjny skład kapeli i sposób wykonania całego repertuaru; pozostałe nagrody: kapeli **„Jacoki"** Fabryki Obuwia Sportowego w Krośnie za doskonałe wykonanie programu muzycznego, zespołowi **„Stokrotki" KGW w Korczynie** (gm. Biecz) za poprawne wykonanie repertuaru tanecznego, **Regionalnemu Zespołowi Pieśni i Tańca „Gacoki" z Gaci Przeworskiej** za wieloletnie podtrzymywanie tradycji regionu przeworskiego, **Regionalnemu Zespołowi KGW z Cieszyny** za całość repertuaru i najlepszą okółkę, **Regionalnemu Zespołowi Pieśni i Tańca „Pektowin" z Jasła** za zespołowy taniec i śpiew, **Regionalnemu Zespołowi „Strzeszynianki" ze Strzeszyna** za wierne i pełne prostoty opracowanie obrzędu weselnego, **Kapeli Braci Bednarzy ze wsi Podhorce** (woj. zamojskie) za podtrzymywanie tradycji muzykowania rodzinnego, **kapeli** Domu Kultury z **Szydłowca** za tradycyjny skład instrumentów, oryginalny repertuar i mistrzowskie wykonanie. Nagrody otrzymali także: kapela ZDK „Stomil" w Dębicy, kapela rodziny Pudełków z Siedleczki, tancerze z Zespołu Szkół Rolniczych w Trzcinicy, kapela Podkarpackich Zakładów Rafineryjnych w Jaśle, kapela Zakładów Tworzyw Sztucznych „Gamrat-Erg" w Jaśle i kapela „Rudkowianie" z Rudek k. Kielc.

Uhonorowano także solistów: **Jana Barnasia** — klarnecistę z Dębicy, **Karola Pisarczyka** — skrzypka z Dębicy, **Piotra Szewczyka** — skrzypka z Dębicy, **Henryka Kretowicza** — skrzypka z Głogowa Małopolskiego, **Leopolda Guzika** — okaryna (Krosno), **Władysława Chochołka** — cymbalistę z Jasła, **Krystynę Plachę** — śpiewaczkę z Janowa Lubelskiego, **Józefa Doktora** — skrzypka z Jasła, **Władysława Rybkę** — cymbalistę ze Skołyszyna i **Jana Kuchtę** — skrzypka.

Wszystkich występujących na jasielskiej festiwalowej estradzie, tych nagrodzonych i nie, z humorem prezentowali **Stanisław Derendarz** i **Stanisław Jaskułka**.

Tak prezentował się na jasielskim festiwalu zespół „Retmany" z Puław.
Fot. Tomasz Kasprzyk

Zabytkowy zespół dworski — na siedzibę Muzeum Ruchu Ludowego

Jeszcze w tym roku rozpoczną się prace renowacyjne i remontowe przy jednym z najpiękniejszych na Rzeszowszczyźnie zabytkowych obiektów architektonicznych — zespole dworskim, obejmującym pałacyk, oficyny, spichlerz i pomieszczenia gospodarcze*) k. Ropczyc. Wzniesiony wg projektu architekta Jakuba Kubickiego na przełomie XVII i XVIII wieku dla rodziny Lubienieckich, dworek witkowicki zachował wiele cennych elementów wystroju wnętrz, m. in. polichromie, rzeźby i stiuki, kamionkowe piece, złocenia, ozdobne parkiety itd. Po zakończeniu prac renowacyjnych, dworek będzie siedzibą Muzeum Historii Ruchu Ludowego.

*) w Witkowicach

* * *

Sztuka pasją życia

W woj. kieleckim coraz więcej osób interesuje się sztuką. Zwiększa się liczba malarzy i rzeźbiarzy amatorów w Kielcach, Starachowicach, Włoszczowej, Busku-Zdroju i w innych miejscowościach. Pochodzą oni z różnych środowisk społecznych, z zawodu są robotnikami, rolnikami, pracownikami umysłowymi, zaś większość to emeryci. Kielecki Klub Artystów Plastyków Amatorów zrzesza ok. 40 osób, których pasją jest sztuka. Utrwalają oni na płótnie i kartonie zabytki architektury regionu, pomniki przyrody i krajobraz świętokrzyski. Owoce ich pracy — obrazy eksponowane są w domach kultury, klubach, świetlicach, a także na wystawach, organizowanych przez związki zawodowe i zakłady pracy. Ostatnio kilkadziesiąt obrazów plastyków-amatorów zaprezentowano na wystawie w Klubie Nauczyciela w Wojewódzkim Domu Kultury, Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki w Kieleckiej Fabryce Pomp.

(PAP)

RUCH ŻYWEJ MOWY

nie godzinę czasu na odbywanie prób. Pierwszy wieczór był skromnym konkursem poezji i zgłosiło się kilku uczestników. To może niewiele, ale za to widownia była pełna. Leczono nas dobrze, odżywiano, ale zapomniano o strawie duchowej, bo poza filmem wyświetlanym raz w tygodniu, ubożuchną biblioteką i grami towarzyskimi w świetlicy, ograniczonymi do znudzenia, nie było nic. Potem zabraliśmy się do „Matki" Szaniawskiego. Odbywały się próby, wyłoniły się talenty aktorskie, a przygotowaniami do występu żył cały pawilon. Wiele chorych, które nie opuszczały łóżek i nawet nie mogły być na występie, z zapałem pomagało przy przygotowywaniu improwizowanych kostiumów, rekwizytów i elementów dekoracji. Dla nich później w poszczególnych salach odtworzyliśmy co się tylko dało z naszego programu. I w tym czasie ustały niepotrzebne, jątrzące rozmowy na temat choroby i wysilania się na opowiadanie głupich kawałów; stopniowo zaczęliśmy wracać do zdrowia i rozjeżdżać się do domów..."

„Teatr moja miłość"

Bardzo szczęśliwe było dzieciństwo pani Celiny Heller; gdy spać nie może, ucieka myślami nad Prut, w jary i wąwozy Jaremcza, Kosowa, przywołuje na pamięć niebieskość oczu ojca — profesora biologii w śniatyńskim gimnazjum, który wojnę zapłacił własnym życiem, wadzi się z matką, radzącą młodej maturzystce studia medyczne, wywołuje piękną twarz ciotki — aktorki, która wbrew rodzinie ukończyła szkołę dramatyczną.

Wspaniale było w tym dostatnim, kresowym domu, u rodziców otoczonych powszechnym szacunkiem, żyjących dla dzieci, w bliskiej więzi z nimi, w patriotycznym wychowaniu.

W domu mówiono Mickiewiczem, Słowackim, Norwidem.

W każdej chwili można było podjąć wiersz, zaczęty przez matkę i dodać mu własne intonacje. A potem wbrew matce marzyć o scenie.

Wojna przekreśliła plany, szkołę dramatyczną. Wojna przyniosła męża, potem przyszło troje dzieci, wędrówki po wielkich majątkach w małych miejscowościach, którymi zarządzał pan Heller. A ona, żeby mieć coś dla siebie oprócz prania, sprzątania, wychowywania dzieci, śledziła pilnie konkursy recytatorskie, brała nagrody, szukała wrażliwej młodzieży, dobrych wzorów. Chyba w Brzesku robiła teatr przy współpracy z Mają Komorowską; ta powtarzała: mówcie prawdę, przekonujcie prawdą.

Wtedy też zagarnęła w Krakowie pierwszą nagrodę w wojewódzkich eliminacjach, pojechała do Warszawy i tam była trzecia w konkursie recytatorskim. I wtedy też na dobre zdecydowała, że to koniec marzeń o scenie zawodowej, gdy na namowy Anny Lutosławskiej, że marnuje talent, odpowiedziała: mam męża, troje dzieci i czterdziestkę na karku. Zdecydowałam, że pozostanę amatorem.

Gdy się przenieśli z mężem do Boguchwały, zaczęła krążyć wokół zespołu teatralnego Metalowca. Zagrała dziesiątki ról. Wszystkie role duże i małe z jednakim entuzjazmem. Uciekała w ten świat poetycki od prozy życia, życie zawsze dzieliło się na realne i wymyślone.

Kiedy zaczęła pracować w ośrodku kultury w Boguchwale, szukała pilnie repertuaru.

„Kiedy przed paru laty wpadła mi w ręce książka pt. „Zwierzę obdarzone rozumem" Roberta Merlego, urocza opowieść o delfinach; zrodził się pomysł scenariusza w oparciu o myśl przewodnią tej książki. Pojawienie się w r. 1955 w Nowej Zelandii, w pobliżu plaży zwanej Opononi samicy delfina, która wykazywała wiele łagodności i inteligencji podczas zabaw z dziećmi, wzbudziło wielkie zainteresowanie i oto „Ze wszystkich krańców wyspy i wysp sąsiednich ludzie zjeżdżali się, aby ją oglądać. Jak stwierdzają naoczni świadkowie, nastąpiło wówczas dziwne zjawisko; zwierzę zarażało łagodnością ludzi. Wieczorem na plaży nieznajomi ludzie poczynali rozmawiać ze sobą i świadczyć sobie usługi. Znikały bariery społeczne i rasowe. Opononi stawało się ośrodkiem przyjaźni".

Jaki wspaniały temat w czasie, kiedy jeszcze nie zabliźniły się rany po ostatniej wojnie, a już mocarstwa prześcigają się w wyścigu zbrojeń i kiedy wciąż wisi nad nami groźba atomu, trzeba niezmordowanie głosić ideę pokoju i braterstwa. Widowisko pt. „Uczmy się łagodności od delfinów" spełniło swoje zadanie; dotarło do szerokiej rzeszy słuchaczy, nagrane dla Polskiego Radia rozgłośni rzeszowskiej...".

„Teatr moja miłość"

Delfiny nauczyły ją łagodności.

Kiedy zrobiła z wiejskim zespołem „Ścieżkę przez pole" Auderskiej i ludzie prości zagrali siebie — to był sukces osobisty, że umiała to z nich wydobyć.

„A przecież zdarzało się nieraz, że wkładałam całą duszę w przygotowanie do występu, a frekwencja była mała, a nawet prawie żadna. Przypomina mi się mój recital w klubie MPiK w Rzeszowie, w ramach imprez towarzyszącym obchodom 1 Maja; na sali poza kilkoma osobami z kręgu moich najbliższych, wtulony w fotel, w ostatnim rzędzie, jeden jedyny widz. — Niepowodzenie? — Zaczęłam mówić i czułam, jak przerzucam w przestrzeni utkany słowami poety tęczowy most, na którym spotykamy się oboje; ja i ten młody człowiek o chmurnym spojrzeniu. Niedługo potem został członkiem mojego teatru poezji. Dojeżdżał na próby z Rzeszowa do Boguchwały. Kiedyś, wychowanek Domu Dziecka, wówczas pracujący jako kierowca. Już w pierwszym konkursie recytatorskim, do którego przygotowywał się z ogromnym zapałem, często po nocy spędzonej za kierownicą, był laureatem na szczeblu wojewódzkim (proza: „Legenda o Januszu Korczaku"). W tym czasie zaczął uczęszczać do średniej szkoły i zdał maturę. — A ja mu „pierwsza pokazałam księżyc". — „To moja druga Matka" — mówi o mnie.

Kiedy obecnie w pracy napotykam na wiele trudności (brak repertuaru, zainteresowania itp.), wiem że warto walczyć o pozyskanie choćby jednego człowieka.

A borykać się trzeba uparcie, codziennie, bo obecna sytuacja społeczno-gospodarcza nie sprzyja rozwojowi ruchu amatorskiego. Ludzie zmęczeni, znerwicowani, stojący godzinami w kolejkach, niepewni jutra i zdezorientowani, straszeni bombą atomową i okłamywani — nie znajdują czasu na obcowanie ze sztuką. A przecież największą i odwieczną prawdą jest to, że naród bez kultury nie może istnieć. I chociaż gromadzą się nad nami ciemne chmury, powtarzam za Korczakiem z upartym optymizmem „Prawda, że dobra o wiele więcej na świecie; ciche, skromne, nie przeczuwa wielkości swojej..."

„Teatr moja miłość"

Kiedy zaproszono ją do wzięcia udziału w konkursie na pamiętnik amatorskiego twórcy teatralnego zebrała się w sobie, napisała rzecz w dwa tygodnie i powiozła na pocztę w Rzeszowie. Sam naczelnik odmówił przyjęcia paczki, która nie była ani z żywnością, ani z odzieżą. Więc wsparta na kuli, powędrowała do LOT-u, kupiła bilet i sama zawiozła do Warszawy w ostatnim dniu upływającego terminu...

Bardzo zdziwiona pani w Towarzystwie Kultury Teatralnej patrzyła na tę niepełnosprawną, przeszło sześćdziesięcioletnią kobietę, która osobiście przywiozła swoje wyznania; po co ten niepotrzebny wysiłek, skoro inne poczty przekazały z całej Polski paczki z pamiętnikami?

Dostała II nagrodę. Odbyła jeszcze jeden sprawdzian.

Dziś powie:

— Czy jest szczęśliwszy człowiek na świecie ode mnie: robię co ukochałam i jeszcze mi za to płacą...

A potem usiądzie w sali teatralnej, obejrzy znakomity spektakl krakowski „Spowiedź clowna", na XXII Rzeszowskich Spotkaniach Teatralnych, ze zgrozą popatrzy na dwie starsze panie, które ostentacyjnie wyjdą przed końcem przedstawienia, by zaprotestować przeciw dziejącym się w sztuce obscenom i oznajmi:

— Jeżeli obsceniczne obrazy są prawdą — a są — składają się na artystyczną całość dzieła. Nawet nagi posąg, ale artystycznie doskonały, mógłby stanąć w kościele i nikogo by nie obraził...

Młody aktor, juror onegdajszy w konkursie recytatorskim, powiedział kiedyś, że uprawia niemodną recytację. Wielki mag słowa — Julian Przyboś zripostował, że włączyła się do ruchu żywej mowy. Zaprzyjaźnili się potem, pisywał do pani Celiny listy o poezji.

Wrażliwość Celiny Heller zdaje się potwierdzać opinię zmarłego poety.

przeczytaliśmy...

... w **„TU I TERAZ"** — artykuł Tomasza Bochata pt. **„Polacy — społeczeństwo zdezorganizowane?"**.

„Badania socjologiczne, a także obserwacje procesów społecznych w naszym kraju — czytamy — wskazują na aktualność — wypowiedzianego w 1956 roku przez prof. Jana Szczepańskiego — twierdzenia o frustracji społeczeństwa polskiego. Myślenie potoczne, w istotnej mierze współkształtujące postawy Polaków, jest nasycone stereotypami i mitami. Do nich należą m. in. 1) przekonanie o wysokich walorach obywatelskich społeczeństwa, do których nie dorasta władza, 2) przeświadczenie o fatum ciążącym nad ważnymi, dla bytu narodu, działaniami społecznymi oraz 3) obciążenie władzy pełną odpowiedzialnością zarówno za kryzys w jego rozlicznych wymiarach, jak i za standard życia każdej jednostki".

Omawiając poszczególne symptomy tego zjawiska, autor zauważa:

„Trzeba podkreślić, że w naszym kraju szczególnie ważne będzie kształtowanie stosunków między władzą a społeczeństwem wedle wzoru „przywódcy — zwolennicy" i odrzucenie wzorca „zwierzchnicy — podwładni", czyli twórcze przekształcenie systemu politycznego i nasycanie treściami praktykowanej demokracji oraz stwarzanie przesłanek podmiotowości społeczeństwa. Natomiast za przejawy dążeń do reorganizacji zachowawczej uznać należy postawy resentymentu i rytualizmu, występujące jeszcze u niektórych, dogmatycznie myślących ludzi szeroko rozumianego aparatu władzy, a także działania niektórych stowarzyszeń, klubów i pewnego tygodnika. Bezwzględnie jednak należy wskazać na jeszcze jeden — bardzo istotny — przejaw działań zachowawczych i konserwatywnych. Wyraża się on w bojkocie i biernym oporze znacznych, mimo wszystko, odłamów społeczeństwa polskiego wobec prób i propozycji instytucjonalnych reform przedstawianych przez centrum polityczne kraju — bojkocie i biernym oporze, będącym wynikiem propagandowego oddziaływania opozycji politycznej, a także przejawem resentymentu i wycofania.

Odrzucenie projektowanych i już wprowadzanych reform systemowych rodzi poważne niebezpieczeństwo usankcjonowania dezorganizacji i pogłębienia polaryzacji społeczeństwa... Dla społeczeństwa polskiego, co nie jest żadnym odkryciem, istnieje tylko taka alternatywa: albo zgoda na stan dezorganizacji i dalej na katastrofę narodu i państwa, albo współdziałanie w procesie przebudowy społeczeństwa".

Radzimy zapoznać się z całym artykułem i dać sobie samemu odpowiedź, który z faktorów alternatywy należy wybrać.

... w „POLITYCE" — notatkę pt. **„Od Annasza do Kajfasza"**, którą przytaczamy w całości.

„Powodowani zbożnym zamiarem przedstawienia czytelnikom stanu przygotowań wiernych w parafii do powitania Jana Pawła II, zwróciliśmy się do kancelarii Jego Eminencji ks. prymasa Glempa z pisemną, jak tego zażądano, prośbą o zezwolenie na rozmowę ze wskazanym przez władze kościelne proboszczem.

Kierownik sekretariatu prymasa odesłał sprawę i dziennikarkę do Kurii Metropolitarnej, do której po licznych wyjaśnieniach telefonicznych została ona jednocześnie poproszona na rozmowę.

Wynikiem rozmowy było pismo podpisane przez wikariusza generalnego biskupa sufragana, następującej treści: „Wydział Duszpasterstwa Kurii Metropolitarnej Warszawskiej, na polecenie księdza biskupa Jerzego Dąbrowskiego z sekretariatu księdza prymasa zwraca się z prośbą do księdza proboszcza, aby przyjął Panią Redaktor „Polityki" i poinformował o przygotowaniach parafii na przyjęcie Ojca Św. w czerwcu br. Przed wydrukowaniem Pani Redaktor skonsultuje swój artykuł z Księdzem Proboszczem".

Z kolei ks. proboszcz z Ząbek, do którego dziennikarka się zwróciła, oświadczył, że z „Polityką" rozmawiać nie będzie, ponieważ nie chce i nie musi. Dwaj inni proboszczowie z parafii podwarszawskich indagowani wstępnie na okoliczność przychylenia się do zgody na rozmowę, wspartej listem swej zwierzchności, odpowiedzieli, że należy się o taki osobno wystarać. Dziennikarka zwróciła się do sekretariatu księdza Prymasa z prośbą etc. Pracownik Sekretariatu odesłał ją do Kurii Metropolitarnej do Wikariusza Generalnego Biskupa Sufragana, który oświadczył, że powstanie reportażu o przygotowaniach społeczności do powitania papieża jest niemożliwe"

Ano, mówi się trudno...

odnotowujemy...

PRZEMYŚL

W WDK odbył się VIII Wojewódzki Przegląd Teatrzyków Dziecięcych „Tropem Jasia i Małgosi".

• • •

Nina Urbano, Tadeusz Chyła, Mieczysław Święcicki i Lidia Stanisławska wzięli udział w programie „Cztery pory roku", przedstawionym w WDK.

• • •

Zorganizowano wojewódzkie konfrontacje tanecznych zespołów dziecięcych — „Tańcowały dwa Michały".

• • •

W galerii „Desy" czynna jest poplenerowa wystawa malarstwa — „Słonne 83".

RZESZÓW

W WDK odbył się konkurs na polskie tańce narodowe — „Polonez 83". Wystąpiło 10 zespołów. Najlepsze to: Zespół Pieśni i Tańca ZSG w Trzebownisku, Zespół Pieśni i Tańca „Wesoła gromadka" z ZSG w Boguchwale, Dziecięcy Zespół Tańca RCK oraz Zespół Taneczny „Krasnopolanie" z Krasnego.

• • •

W WDK odbyły się eliminacje do I Ogólnopolskiego Turnieju Szachów Heksagonalnych. Wzięło udział 14 zawodników z Warszawy, Łodzi i Rzeszowa.

• • •

W ZDK zorganizowano VIII Wojewódzki Przegląd Teatrów Szkolnych.

• • •

W Osiedlowym Domu Kultury „Gwarek", czynna jest wystawa twórczości plastycznej dzieci austriackich.

TARNOBRZEG

Z okazji zakończenia roku amatorskiego ruchu artystycznego zaprezentowały się w WDK zespoły działające przy tej placówce.

• • •

W sali kameralnej WDK odbył się koncert Wilanowskiego Kwartetu Muzycznego.

• • •

Z okazji Dnia Chemika zorganizowano w WDK koncert, w którym wziął udział rzeszowski Zespół Pieśni i Tańca „Połoniny".

(tem)

WYPEŁNIANIE LUKI

Rozmowa z profesorem doktorem habilitowanym JANEM WINIARZEM — prorektorem Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie do spraw Filii w Rzeszowie i docentem doktorem habilitowanym WITOLDEM KURKIEM — prodziekanem Wydziału Ekonomicznego Filii w Rzeszowie.

— Czy uważa Pan, że taka uczelnia, jak filia Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, jest Rzeszowowi bezwzględnie potrzebna?

PROF. JAN WINIARZ: — W moim głębokim przekonaniu Rzeszowowi potrzebna jest silna uczelnia humanistyczna obok politechniki, obok katedry medycyny klinicznej... Taka silna uczelnia humanistyczna z wydziałem prawa i administracji, z rozwiniętym wydziałem ekonomicznym i innymi humanistycznymi wydziałami jest z pewnością potrzebna. Dałem temu wyraz w artykule, który zamieści najbliższy numer „Profilów", znamiennie zresztą zatytułowanym „W stronę uniwersytetu rzeszowskiego".

— Jeśli nie uniwersytet, jaka pozostawałaby alternatywa?

PROF. J. WINIARZ: — Dojeżdżanie młodzieży do Krakowa i do Lublina? Dojeżdżanie tej młodzieży z Leska, z Bieszczadów, z województwa krośnieńskiego z odległych terenów województwa przemyskiego. Ta młodzież teraz studiuje u nas. Czy ma dojeżdżać, do Krakowa i Lublina? Jestem daleki od tego, aby przemawiał przeze mnie jakiś patriotyzm lokalny, partykularyzm...

— Co więc przez Pana przemawia?

PROF. J. WINIARZ: — Kieruje mną obserwacja młodzieży. Mam już poza sobą bądź co bądź ponad roczny pobyt w Rzeszowie. Obserwuje prężność tego środowiska, tych ludzi, ich dążność do wiedzy. Młodzież jest szalenie bystra tutaj i tej młodzieży coś się należy.

— Od razu uniwersytet?

PROF. J. WINIARZ: — Kiedyś na obszarze Polski południowo-wschodniej działał Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie. Co zastąpiło Uniwersytet Jana Kazimierza? Nic. Pozostała pustka. Lublin nigdy nie zastąpi nam tego czym był dla Polski południowo - wschodniej silny ośrodek naukowy stworzony dzięki Uniwersytetowi Jana Kazimierza. Tam się kształciła kadra właśnie dla tego regionu i nie tylko dla tego regionu. My oczywiście nie myślimy o czymś takim. Myślimy o czymś znacznie mniejszym. Ten region ma swoją specyfikę, czemu zresztą niejednokrotnie dawał wyraz rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej Józef Linton w swoich wywiadach prasowych i na antenie radiowej.

— Co Panem powodowało, że zdecydował się Pan na pracę w Rzeszowie? Gdy czekałem na Pana w sekretariacie podsłuchałem oczywiście rozmowę telefoniczną, w której przyznał się Pan rozmówcy, że zna w tym mieście ledwie trzy ulice.

PROF. J. WINIARZ: — Urodzenie, proszę pana. Ja w tym regionie się urodziłem. Na terenie byłego wielkiego województwa rzeszowskiego. Teraz wskutek podzielenia Polski na 49 „stanów" moje miejsce urodzenia jest w województwie tarnowskim... Sentyment do tej ziemi po prostu. Ja już kiedyś w wywiadzie powiedziałem, że przelotny ptak do swoich gniazd powraca.

— Są tacy, którzy twierdzą, że rzeszowska filia Uniwersytetu Marii Curie - Skłodowskiej jest kuźnią kadr dla biurokracji, producentem urzędników, których mamy ostatnio aż nadto. Mam koleżankę, która skończyła wasz Wydział Ekonomiczny, jest dziś ot, taką sobie referentką, czy ekonomistką i twierdzi, że to co robi mogłaby robić mając maturę w liceum ekonomicznym. Twierdzi również, że niejedna z koleżanek ze studiów robi to samo i wyrażają podobną opinię.

PROF. J. WINIARZ: — Nie wiem co pan rozumie pod pojęciem biurokracji. Ja pod tym pojęciem rozumiem kadrę należycie przygotowaną, sprawnie funkcjonującą, w przeciwieństwie do pejoratywnego znaczenia tego pojęcia wyrosłego na gruncie źle działających pracowników administracji, czy państwowej, czy innej. U nas to pojęcie ma dwa znaczenia ja zaś mówiąc — biurokracja, mam na myśli to pierwsze. Oczywiście, filia ma kształcić przyszłych pracowników aparatu administracyjnego i nie tylko, bo także sądowego, prokuratorskiego; ma zapewnić kadrę dla obsługi jednostek gospodarki uspołecznionej, przedsiębiorstw państwowych, instytucji... Nie będę posługiwał się w tej chwili liczbami bezwzględnymi, jestem pod tym względem bardzo ostrożny, ale Urząd Wojewódzki może służyć w każdej chwili opracowaniem, z którego wynika niezbicie, jak ogromne jest zapotrzebowanie na kadrę z wykształceniem prawniczym. Dobrze wykształconą. Jeżeli gdzieś tkwi jakiś problem, to tylko w tym abyśmy kształcili się coraz lepiej i stawiali coraz wyższe wymagania naszym studentom, a w przyszłości absolwentom. W tym jest problem — podnoszenie jakości kształcenia, stale i systematycznie.

DOC. W. KUREK: — Powracając do wyrażonej przez pana opinii, że jesteśmy producentem urzędników i to, sądząc z tonacji pańskiego pytania, tych najgorszej jakości, muszę powiedzieć, że jestem ta opinią zaskoczony i że słyszę ją po raz pierwszy właśnie z pańskich ust. Jeżeli chodzi o studia ekonomiczne, a kształcimy studentów przede wszystkim dla potrzeb przemysłu, to sporządzony kilka lat temu bilans potrzeb, wskazuje, że na lata 1980—1990 trzeba wykształcić około osiem tysięcy absolwentów. Oczywiście filia nie jest w stanie zrobić tego sama, stąd część młodzieży kieruje się na studia do innych ośrodków akademickich. Poza tym nie my kształtujemy elementy biurokracji, które występują tu i ówdzie w praktyce.

My kształcimy i wydaje mi się że robimy to w miarę dobrze. Kadra... Myśmy tego nigdy tak otwarcie nie mówili, bo pewne elementy skromności muszą przez nas przebijać, ale... Odczuwamy określone braki w określonych dyscyplinach, ale na innych uczelniach i w innych dyscyplinach również o tych brakach można mówić. Natomiast w niektórych dyscyplinach u nas poziom nauczania wcale nie odbiega, a wręcz nawet jest wyższy od tego co się robi gdzie indziej. Mam pełne rozeznanie. To oczywiście zależy od kadry którą się dysponuje. My oczywiście jesteśmy na dorobku, ale często naszej młodej kadry nie powstydziłby się każdy inny uniwersytet. Poza tym źródło dyplomowe naszych absolwentów wysyłane na konkursy zajmowały drugie i trzecie miejsce w kraju i to nie są odosobnione przypadki.

PROF. J. WINIARZ: — Dla porównania, bo przecież pracowałem bardzo długo na Uniwersytecie Warszawskim, pracowałem dojeżdżając z Warszawy do filii warszawskiego uniwersytetu w Białymstoku — pracowałem 11 lat na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, co daje mi pewną skalę porównawczą i możliwość obiektywnej oceny. Skoro więc o wymaganiach mowa, to osobiście odnoszę wrażenie, że tu, w Rzeszowie, studentowi jest trudniej zaliczyć egzamin niż w uczelniach dużych. Tam to jakoś inaczej wygląda. Nie chce się oczywiście merytorycznie wypowiadać, czym to jest warunkowane, ale fakt, że wymagania stawiamy tu w Rzeszowie studentom duże, pozostaje faktem.

DOC. W. KUREK: — W tej chwili jedna trzecia studentów nie kończy studiów. Świadczy o wzroście wymagań i o selekcji.

— Politechnikę Rzeszowską i Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Rzeszowie dotknęło wstrzymanie rekrutacji na niektóre kierunki studiów, filię UMCS nie. Jak to się stało?

PROF. J. WINIARZ: — Nie było tu żadnego kumoterstwa. Rekrutację na studia mamy nawet bardzo dużą... Na tym etapie rozwojowym, przy tym stanie posiadania kadrowego filii, korzystamy w szerokim zakresie z pomocy macierzystej uczelni lubelskiej. Stale współpracowało z nami w bieżącym roku akademickim 12 profesorów z Lublina, 12 docentów i 10 doktorów oraz starszych wykładowców.

DOC. W. KUREK: — Jesteśmy filią lubelskiego UMCS, działamy więc pod jednym szyldem, a pod tym szyldem ów warunek jest spełniony z nawiązką. Natomiast prawda jest, że dążąc do usamodzielnienia się patrzymy chętnie na samodzielnych pracowników nauki, którzy chcą do nas przyjść, a z drugiej strony intensywnie staramy się powiększyć liczbę pracowników samodzielnych spośród naszego grona.

PROF. J. WINIARZ: — Naszą cechą narodową staje się ostatnio euforia i zmienność. Albo hurra i budujemy, albo hurra i burzymy, to co wcześniej z takim samym zadowoleniem i przekonaniem o słuszności budowaliśmy. Dotyczy to również nowych uczelni, wydziałów czy kierunków. Egzemplum — wydział prawa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu: był, funkcjonował, miał świetną kadrę, aż tu w pewnym momencie uznano, że należy ten wydział zlikwidować, ponieważ stwierdzono że za dużo jest w Polsce wydziałów prawa. I co? Za parę lat okazało się, że zapotrzebowanie jest tak duże, iż trzeba wydział reaktywować! No tak, ale ludzie już się rozeszli, część się załamała, powstały szkody, wyrwy... I dopiero po wielu, wielu latach, dopiero dzisiaj, wydział stanął na nogach i jest mocny.

Owszem, powstało wiele filii, punktów konsultacyjnych, zamiejscowych wydziałów itd., których przydatność jest niewielka, tym bardziej że egzystują pod bokiem wielkich ośrodków akademickich. Co do nich nie ma wątpliwości, jaka czeka je przyszłość. Ale taka sama przyszłość nie powinna dotknąć ośrodków, których miejsce na mapie akademickiej kraju nie może być wymazane. Ja twierdzę, że na północnym wschodzie ośrodkiem takim jest Białystok, a na południowym wschodzie Rzeszów. Rzeszowski ośrodek akademicki trzeba chronić i rozwijać systematyczną pracą organiczną poprzez rozwój kadry naukowo - dydaktycznej. Kadra, kadra, kadra i jeszcze raz kadra — to powiedziałem nie dalej, jak 1 czerwca na posiedzeniu rady wydziału w Lublinie.

DOC. W. KUREK: — Trzeba wspomnieć o potrzebach, a raczej o zapotrzebowaniu na kadrę i w jakich regionach kraju ono istnieje.

Nie ulega wątpliwości, że województwo rzeszowskie ma za sobą ogromny awans społeczny, który dokonał się w latach powojennych, ale wyraźnie odstaje od wielu innych ośrodków kraju pod względem nasycenia w kadrę z wyższym wykształceniem. Istnieją w naszym regionie określone potrzeby i trzeba strukturę kształcenia dostosować do tych potrzeb.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: JACEK STACHIEWICZ

Zbigniew Krempf

SZKOŁA NIEUSTAJĄCA...

— Świetnie wyglądasz! Nic się nie zmieniłeś! Jak dawniej urocza! Ile to już lat? A pamiętasz?...

Okrzyki, zdumienie, krytyczne spojrzenia na tych, z którymi siedziało się w jednej ławce, z którymi chodziło się na wagary, rywalizował o sympatię koleżanki, kolegi. Panie i panowie (ci ostatni często z dyskretną miniaturką odznaczenia w klapie marynarki) wypełniają szkolny dziedziniec, korytarze; zaglądają do swoich dawnych klas. Spotkanie po latach w Zespole Szkół, w którym jedna szkoła obchodzi 60-lecie, a druga 40-lecie swego istnienia.

W drugiej połowie XIX w. Ropczyce posiadały dwie szkoły ludowe: męską i żeńską. Po odzyskaniu niepodległości nie wystarczyło jednak mieszkańcom miasteczka szkolnictwo podstawowe.

Z prelekcji na spotkaniu:

„Grono osób, którym zależało na podniesieniu poziomu kulturalnego miasta, powzięło w roku 1923 myśl założenia 8-klasowego gimnazjum klasycznego i 5-letniego żeńskiego seminarium nauczycielskiego. Głównymi inicjatorami tych zamierzeń byli: burmistrz Władysław Burszyn, ówczesny proboszcz ks. dr Władysław Kuc i inspektor szkolny Feliks Sokołowski. Na kierownika gimnazjum powołano ks. dr Władysława Kuca, który pełnił to obowiązek do roku 1927/28. Później pełnił te funkcje ks. dr Józef Denowski.

W seminarium nauczycielskim żeńskim obowiązki dyrektorów pełnili po kolei: insp. F. Sokołowski, emerytowany kurator szkolny dr Władysław Wasung, Władysław Rusin i Jan Bulenda. Otwarcie dwu szkół średnich w Ropczycach miało wielkie znaczenie dla miasta: wpłynęło na jego rozkwit pod względem intelektualnym i kulturalnym".

W roku 1933 zlikwidowano seminaria nauczycielskie, powołując w ich miejsce rzadką sieć liceów pedagogicznych. Ropczyce utrzymały jedynie gimnazjum i liceum, które zaczęło podupadać, straciwszy prawa szkół państwowych, a posiadając jedynie tzw. „niepełne prawa z zastrzeżeniem". Do utraty znaczenia szkoły doprowadziła też likwidacja powiatu ropczyckiego w roku 1932 jako kara za radykalny ruch chłopski. W roku 1938/39 szkoła liczyła tylko 88 uczniów.

Hitlerowcy zlikwidowali ropczycką szkołę średnią. Nauczyciele rzuceni zostali w różne strony kraju i świata. Wśród tych, którzy zginęli w obozach, byli: Tadeusz Myszka, Gizela Schillingerówna, dr Fischerówna, Stanisław Alberski.

Nie znaczyło to jednak, że zaniechano nauczania. W roku 1940 udaje się uruchomić Publiczną Szkołę Ogrodniczą, którą kierował początkowo ks. dr Jan Zwierz, a później Ryszard Christoff. Szkoła miała uczyć zawodu, ale i chronić młodzież przed wywózką do Niemiec. Nauczanie było okrojone: usunięto z programu naukę historii i geografii, ograniczono naukę języka polskiego. Próżnie tę wypełniło natychmiast nauczanie tajne.

Na 20 kompletach odbyło się 75 sesji egzaminacyjnych, umożliwiających złożenie egzaminu dojrzałości 450 osobom. W roku 1943 uaktywniła się komisja oświaty powiatu dębickiego (do którego należały wówczas Ropczyce), w składzie: Franciszek Sadowski, Józef Ciecieł, Stefan Marciąz (zamordowany przez okupantów), Piotr Klamut, Władysław Starkel, Ferdynand Filipek, Franciszek Dwornik, Józef Wiercioch i Ryszard Christoff.

Zespół nauczycieli (Stanisław Zieliński, Wanda Kolbusz, Józef Wiercioch, Stanisław Viscardi) prowadzi w Ropczycach dwa tajne komplety.

Obok szkoły ogrodniczej, obok tajnego nauczania, w roku 1943 działać zaczyna w Ropczycach oficjalnie Dwuletnia Szkoła Rzemieślnicza, powstała również z inicjatywy ks. dr. Jana Zwierza. Była to filia dębickiej Szkoły Rzemieślniczej dla Mechaników. Jej dyrektorem został Mieczysław Beaupre.

Jeden z pierwszych nauczycieli tej szkoły, Józef Bochenek, wspominał, jak wyglądała wówczas praktyczna nauka zawodu. Funkcję kowadła spełniał duży odlew żeliwny, warsztaty dysponowały kilkoma imadłami, pilnikami, kuźnią polową oraz dwoma młotami, wypożyczonymi od miejscowego kowala. Później szkoła otrzymała nowocześniejsze maszyny z Krakowa i Tarnowa, a także ze szkoły mechanicznej w Dębicy, kiedy zamieniono ją na magazyny i szpital.

Tuż po wyzwoleniu rozpoczyna się nauka nie ograniczona już terrorem, zakazami.

Z prelekcji na spotkaniu:

„Ropczyce zostały wyzwolone 22 sierpnia 1944 roku. Niemal tego samego dnia władze oddają do użytku pedagogów i młodzieży gmach gimnazjum i polecają zorganizować szkołę. Pusty budynek z powybijanymi szybami, bez drzwi, bez pieców, bez sprzętu — zapełnia żądna nauki młodzież w olbrzymiej jak na owe czasy liczbie 400 osób. Do pracy w szkole jako pierwsi, nie pytając o warunki materialne i uposażenie, stanęli nauczyciele: Wilhelm Szczepanek, Irena Szczepanek, Stanisław Viscardi, Kazimierz Gródecki, Józef Wiercioch, Stanisław Kobosowicz, Jan Paszczyczak, Stanisław Pszenicny, Janina Cichocka. Nieco później dołączyli: M. Lachman, M. Waydowska, Jadwiga Bieszczad, A. Burowski, S. Żaki, B. Szulc, W. Serwacki, J. Targoń, Albina Janasik, Jan Janasik, S. Dutkiewicz, Janina Dutkiewicz, Michalina Pszenicna, Bronisława Kniaziuk, Feliks Gierałt, W. Rondon, S. Czapka. Dyrektorem szkoły został Ryszard Christoff".

Rozpoczęło także działalność Trzyletnie Gimnazjum Mechaniczne pod dyrekcją ks. dr. Jana Zwierza. Utrzymywało się początkowo z opłat uczniowskich i funduszy samorządowych.

W obydwu szkołach zasiedli w ławkach uczniowie z różnych środowisk, w różnym wieku, z różnym doświadczeniem wojennym.

Zarówno gimnazjum ogólnokształcące, jak i mechaniczne zostały rychło upaństwowione, a to ostatnie działało do roku 1950, kiedy je rozdzielono. Gimnazjum i Liceum Mechaniczne objęło zasadniczą szkołę zawodową, licea mechaniczne I i II stopnia oraz technikum mechaniczne.

Po odwołaniu ze stanowiska dyrektora ks. dr Jana Zwierza, odznaczonego Złotym Krzyżem Zasługi przez Radę Państwa, szkołą kierowali kolejno Edward Lewirski, Władysław Wesołowski, Stefan Kowal, Adam Bauer, Jan Pikuła, Jan Urban.

W roku 1977 Zespół Szkół Mechanicznych połączony został z Liceum Ogólnokształcącym im. Tadeusza Kościuszki. Od tej chwili działa w Ropczycach Zespół Szkół im. Aleksandra Zawadzkiego.

Dzisiejszy Zespół Szkół, to olbrzymi kombinat nauczania i wychowania. Różne kierunki, setki uczniów, dziesiątki nauczycieli. Wymaga to osobnego omówienia, pokazania dnia powszedniego szkoły.

Wędruję z byłymi nauczycielami, dyrektorami, uczniami po labiryncie budynków, sal, gabinetów, pomieszczeń socjalnych, klubowych. Słyszę co raz: „tego tutaj nie było", „czekaj, czekaj, tu była kotłownia, a tu leżał koks", „nie poznaję mojej klasy", „wszystko się zmieniło". Dyrektor Jan Urban, który według słów jego małżonki, nie ma czasu dla domu, na wbicie choć jednego gwoździa, cała swoją energię, wsparta energią grona pedagogicznego, komitetu rodzicielskiego, uczniów, poświęca rozbudowie, udoskonaleniu szkoły.

„Nie ma drugiej takiej szkoły w regionie", „nie ma takiej drugiej szkoły w Polsce" — słyszę z ust absolwentów różnych roczników. Spotykam wśród nich znajomych znanych w regionie. Jak gdyby wszyscy, albo prawie wszyscy, którzy zajmują różne eksponowane funkcje, pobierali naukę w ropczyckich szkołach. Są między absolwentami docenci i profesorzy, wysokiej rangi funkcjonariusze państwowi, nauczyciele i inżynierowie, księża i pracownicy nauki. Skromnie, nie eksponując się zbytnio, choć oblegany przez uczestników spotkania, rozmawia ze swoimi byłymi uczniami i współpracownikami ks. dr Jan Zwierz, prezes Towarzystwa Miłośników Ropczyc, którego zasług dla miasta nie potrzeba podkreślać.

Ropczyce nie są już tym miasteczkiem, jakim były przed laty. Rozwój przemysłu, mądra gospodarka władz politycznych i administracyjnych sprawiają, że stało się ono znaczącym ośrodkiem w województwie. Czy u podstaw tego wszystkiego nie leży troska o rozwój oświaty? Zapewne. Od lat sześćdziesięciu trwa tutaj przecież i działa szkoła nieustająca, przygotowująca młodzież do pracy, do życia, przynoszącego pożytek Ludziom.

Zbigniew Wawszczak

GALERIA MALARSTWA POLSKIEGO W SANOKU

Bez rozgłosu otwarto niedawno w Sanoku nową, bardzo interesującą stałą ekspozycję w tamtejszym Muzeum Historycznym. Jest nią Galeria Malarstwa Polskiego im. Marii i Franciszka Prohasków. Nowa galeria znalazła pomieszczenie na piętrze 19-wiecznej kamienicy, znajdującej się przy rynku sanockim.

Mimo kryzysu władze miasta Sanoka potrafiły wygospodarować spore pomieszczenie na siedzibę zbiorów malarstwa polskiego. Nie jest to przykład odosobniony: działacze kultury, z którymi miałem okazję rozmawiać, z uznaniem wyrażali się o przychylnej dla kultury postawie władz miasta, o sprzyjającym klimacie, dzięki któremu łatwiej jest pokonywać trudności obecnego niełatwego okresu, o osobistym zainteresowaniu i życzliwości naczelnika miasta, Ryszarda Grzebienia. Dzięki takiemu klimatowi, Muzeum Historyczne mogło wyjąć z magazynów i zaprezentować zwiedzającym sporą, bo liczącą ok. 100 pozycji kolekcję malarstwa polskiego I połowy XX wieku...

Jak powstała wspomniana kolekcja i w jaki sposób znalazła się właśnie w Sanoku? Kim był Franciszek Prohaska którego imię otrzymała sanocka galeria? Franciszek Prohaska urodził się w roku 1891 w Brzozowie, jako syn leśniczego. Po przedwczesnej śmierci ojca rodzina przeniosła się do Sanoka, gdzie Franciszek uczęszcza do gimnazjum. Interesuje go sztuka, to też po ukończeniu gimnazjum trafia (na dwa lata przed wybuchem I wojny światowej) do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie studiuje u wybitnego malarza Józefa Pankiewicza. Dalszą edukację artystyczną przerywa wojna. Franciszek Prohaska wstępuje do Legionów, bierze udział w walkach o odzyskanie i utrwalenie niepodległości kraju. Od czasów legionowych w trwały sposób związał się z wojskiem: w roku 1921 zostaje oddelegowany wraz z Polską Misją Wojskową do Paryża, gdzie pozostał na stałe, pracując w polskiej ambasadzie.

Z zawodu był Prohaska wojskowym i dyplomatą, z natywszych zainteresowań — malarzem grafikiem i typografem. Malując i wykonując grafiki, utrzymywał bliskie kontakty ze światem artystycznym. Prohaskowie utrzymują dom otwarty, chętnie widzą u siebie polskich malarzy. Częstym gościem jest Józef Pankiewicz, profesor gospodarza z okresu studiów na krakowskiej ASP. Gospodarz nie tylko sam tworzy, ale przebywając w kręgu artystów, przyjaźniąc się z wieloma z nich, stopniowo zaczyna zbierać obrazy. W ten sposób w ciągu dziesięciolecia powstaje duży zbiór, będący jak gdyby dokumentacją działalności artystycznej Polaków w Paryżu lat międzywojennych i pierwszych lat po II wojnie. W okresie jej trwania Franciszek Prohaska wstępuje do armii polskiej, najpierw we Francji, później w Anglii. W roku 1946 wraca do Paryża, a po pewnym czasie przenosi się na południe, do Aix en Provence, nie opodal Marsylii.

Oprócz malarstwa i grafiki (artysta celował zwłaszcza w technikach drzeworytu i miedziorytu), płk Prohaska żywo interesuje się sztuką drukarską, co stało się zapewne również za sprawą wybitnego polskiego typografa, stale przebywającego za granicą, Samuela Tyszkiewicza. W swoim domu w słonecznej Prowansji, tworzy zakład typograficzny z którego wychodzą oryginalne druki bibliofilskie i książki. Przy pracy nad tymi ostatnimi pomaga artyście żona, Maria. Jakie to były książki? Między innymi bibliofilskie wydania tomików wierszy J. Brzekowskiego, Z. L. Zaleskiego, ilustrowane przez Prohaskę.

W miarę, jak upływają lata, Franciszek Prohaska zaczyna zastanawiać się, co zrobić ze sporą już kolekcją, wobec braku bezpośrednich spadkobierców. Z sentymentem wspomina lata młodości, spędzone w dalekim Sanoku. W roku 1963 przekazuje część swej kolekcji w darze dla Muzeum Historycznego w Sanoku. Umiera w roku 1972, zapisując w testamencie całość swych zbiorów dla Sanoka: w roku 1978 cała kolekcja jest już w mieście nad Sanem...

Ciąg dalszy już znamy. 15 października 1982 roku galeria malarstwa im. Prohasków otwarła swe podwoje: w 5 pomieszczeniach rozmieszczono większość kolekcji, wzbogaconej o kilka darów i zakupów muzealnych.

W zbiorach płótna J. Pankiewicza, T. Makowskiego, O. Boznańskiej, W. Zawadowskiego J. Rubczaka, J. Cybisa, K. Brandla, S. Grabowskiego, S. Mrożewskiego. Odrębną pozycję zajmują obrazy i grafiki, rysunki, akwarele, klocki drzeworytnicze płyty miedziorytnicze i linorytowe, będące dziełem samego ofiarodawcy, Franciszka Prohaski.

Uzupełnienie tego zasadniczego zrębu kolekcji stanowią obrazy artystów lwowskich, J. Kirchner i J. Krupskiego oraz krakowskich, J. Malczewskiego, T. Axentowicza i Zb. Pronaszki.

Z życia Polonii

Wielka Brytania

KONKURS O POLSCE

Szkoła Przedmiotów Ojczystych im. Tadeusza Kościuszki na Ealingu w Londynie zorganizowała konkurs wiedzy o Polsce, w którym uczestniczyło około 200 dzieci. Trzy czwarte dochodu z tej imprezy przeznaczono na pomoc medyczną dla kraju za pośrednictwem znanej organizacji Medical Aid for Poland. Przesyła ona do Polski leki i sprzęt medyczny dla szpitali, których dystrybucją zajmuje się Komisja Charytatywna Episkopatu Polski. Uzyskana kwota z wyż. wym konkursu wynosi 795 funtów ang.

Sprostowanie

W poprzednim numerze „Widnokręgu" z dnia 7 VI br. na stronie drugiej ukazał się artykuł pt. „Mity i rzeczywistość w kulturze" bez nazwiska autora — **Andrzeja Potockiego.**

Za to niedopatrzenie z naszej strony serdecznie Autora i Czytelników przepraszamy.

Redakcja

CO ROBIĄ STUDENCI WSP?

Do ZMW „Wici" należy w rzeszowskiej WSP 89 osób. ZSMP ma na tej uczelni 80 członków, a ZSP — 82. Na ogół studenci zapisują się tylko do jednej organizacji, zatem można obliczyć, że w sumie członkowie wszystkich trzech organizacji stanowią 15 proc. ogółu studentów WSP.

Powyższe liczby zostały przytoczone na odbytym w ubiegłym tygodniu posiedzeniu Komitetu Uczelnianego PZPR w WSP, w którym uczestniczyli przedstawiciele wszystkich działających w uczelni organizacji młodzieżowych. Dyskutowano nad kierunkami i formami działania, nad tym co już zrobione i co zaplanowane. Charakterystyczna jest duża różnorodność przedsięwzięć, wielość ośrodków, w których rodzą się inicjatywy, przy czym każda z nich obejmuje na razie niewielką grupę studentów.

Pojawiło się zatem pytanie: Czy należy dążyć do integrowania działań, czy też oddzielnie szukać najskuteczniejszych form pracy? Rozpraszać wysiłki czy je łączyć, pamiętając o niebezpieczeństwach centralnego sterowania ruchem młodzieżowym? Tak sformułowany dylemat nie pozwolił na wypracowanie odpowiedzi. Nie ma prostej recepty. Z wielu różnych wypowiedzi w dyskusji można wyciągnąć ogólny wniosek, że nie wszystko należy robić wspólnie, natomiast samodzielność i tożsamość każdej organizacji nie tylko nic nie straci, ale zyska na wspólnych przedsięwzięciach służących całemu środowisku. Ponadto członkowie organizacji politycznych ZMW i ZSMP powinni dać przykład innym, wstępując do społeczno-zawodowego ZSP.

Wynikiem posiedzenia było, oprócz ogólnego poznania wzajemnych zamiarów, sformułowanie najważniejszych zadań, jakie stoją przed ruchem studenckim w tej uczelni: Są to wysiłki na rzecz objęcia działalnością jak największej liczby studentów oraz powołanie studenckiego samorządu.

Pierwsza sprawa liczy się szczególnie w WSP, choć należy ją odnieść także do innych szkół wyższych. Każdy z absolwentów zostanie nauczycielem i wychowawcą młodzieży, każdy powinien zatem opuszczać uczelnię nie tylko z dyplomem, ale i z kwalifikacjami społecznika orientującego się w zachodzących procesach społecznych. To przecież nieprawda, że ta ogromna większość młodzieży, jaka nadal pozostaje poza organizacjami studenckimi, nie prowadzi dyskusji politycznych, nie szuka argumentów dla ukształtowania własnego światopoglądu.

Zamiar powołania samorządu zostaje w WSP odłożony do nowego roku akademickiego. Ze strony rektora padło podczas zebrania zapewnienie, że samorząd jest uczelni potrzebny, a młodzież studencka ciągle nie wykorzystuje swoich możliwości współrządzenia uczelnią, nadal brakuje studenckiej reprezentacji wyłonionej w sposób zgodny z ustawą.

W dyskusji wskazano także, że organizacje nie potrafią zatroszczyć się o informowanie o swojej działalności. Mimo tego, że każda z nich zamierza zorganizować klub dziennikarzy albo wszechnicę dziennikarską, nie widać rezultatów w postaci korespondencji wysyłanych do ITD i „Nowin".

(wf)

NA EKRANACH

Butch i Kid to para sympatycznych łotrów kpiących w żywe oczy z powagi prawa i kilku przykazań równocześnie. Stanowią oni niezrównany duet „nowego" westernu, jaki pojawia się obecnie na naszych ekranach. Piszemy „nowego" bo sam film jest leciwy. Roy Hill pracował nad dziełem pod koniec lat 60-ych, a więc wówczas, gdy zarówno Newman, jak i Redford byli jeszcze ludźmi młodymi. Dziś obaj panowie mają w sumie (jak policzyłem) aż 104 lata, przy czym ciężar tych lat bardziej przygniata Newmana (58). A mimo to pozostaje on przedmiotem kultu i cichych westchnień pań. Podobnie rzecz się ma z Redfordem. Ale napewno dzisiaj żaden z naszych bohaterów nie sprostałby roli, której podjęli się obaj kilkanaście lat temu, roli zuchwałych awanturników gotowych na każdy skok (bez dublera) pod warunkiem, iż miejscem lądowania okaże się dobrze wypchany sejf. Nieważne było nawet czy sejf ów stoi czy się porusza — jak w filmie, ważna była jego zawartość. I tak od napadu do napadu upływały dni sympatycznym łotrzykom, a czas między włamaniami stwarzał okazje do beztroskiego relaksu. W tamtych czasach i w tamtym miejscu dla takich jak Butch oraz Kid relaks nie polegał bynajmniej na grywaniu w ringo, łowieniu ryb, czy pielęgnowaniu działki. Tamci stawiali wyraźnie na inny program rozrywki: wódkę, saloonowe damy zawsze chętne do swawoli, karciany hazard i nade wszystko błogie lenistwo. Otóż taki „program" był możliwy do realizacji do momentu, gdy zuchwałość bandy Kida nie przekroczyła cierpliwości nobliwych obywateli Zachodu zasobnych w gotówkę, których kasy dla Kida i Butcha stanowiły szczególną pokusę. Najęto przeto do rozprawy z bezczelnymi złodziejaszkami sławnego tropiciela — szeryfa Laforse — słynącego z nieustępliwości psa gończego. Rusza on w trop za bandą, a właściwie za jej dwuosobowym kierownictwem Butchem i Kidem. Każdy z tych dwóch to inny rodzaj talentu, inna „specjalizacja". Mózgiem i reżyserem akcji bywał zwykle Butch — egzekutorem niezrównany rewolwerowiec i zabijaka — Kid. Gdy Laforse coraz bardziej naciskał, Butch i Kid decydują się na radykalny krok — zmieniają klimat i to w sensie dosłownym udając się na wielką włóczęgę do Boliwii. W tej wędrówce towarzyszy im dziewczyna — piękna Etta z zawodu nauczycielka, beznadziejnie zakochana w jednym z opryszków. Lecz nie tylko ten związek łączy doborową trójkę. Etta w bandzie spełnia jeszcze inną rolę — „siły" dydaktycznej ucząc wytrwale niezbyt lotnych facetów, według specjalnego kursu języka ich nowej ojczyzny. Wkuwają więc Butch i Kid mozolnie hiszpańskie słówka, a idzie im to jak się rzekło niezwykle opornie.

Butch i Kid to drugi western na przestrzeni niemalże miesiąca na ekranach kin. Jest to zjawisko nader rzadkie — być może unikalne, wspominamy więc o tym. Zaletą nowego westernu (po „Tomie Hornie") obok doskonałego aktorstwa Newmana i Redforda jest urzekająco piękny krajobraz, a także rzadkiej urody muzyka — Burta Bacharacha. Nic zatem dziwnego, że scenarzysta, operator i kompozytor otrzymali najwyższe wyróżnienia — Oscary 70. Wszystko to sfinansowała Camoanile Productions — 20 th Century Fox, jak się rzekło w 1969 r. Ten upływ czasu w niczym nie zdezawuował filmu — dzieła sztuki łatwo nie poddają się czasowi. Zatem miejmy nadzieję, iż wielu widzów pójdzie na Butcha - Kida bo kocha westerny, inni, bo urzeknie ich nadzwyczajna ścieżka dźwiękowa autorstwa Bacharacha, jeszcze inni, bo trudno będzie odmówić sobie przyjemności oglądania Newmana i Redforda, gdy mieli po czternaście lat mniej. Będą i tacy zapewne, którzy zechcą to wszystko obejrzeć łącznie, a całość ułożył przecież nie byle kto, bo wybitny majster od sceny i ekranu George Roy Hill — twórca niezapomnianego „Żądła".

T. GNYŚ

Na marginesie wyborów Miss Polonia

ZADANIE SPECJALNE

(wspomnienie jurora)

... W mojej ponad trzydziestoletniej dziennikarskiej pracy było to jedno z najatrakcyjniejszych zadań, jakie powierzono mi do wykonania. Był rok 1958. Pracowałem wówczas w „Nowinach Rzeszowskich". Pewnego dnia wezwał mnie w trybie natychmiastowym zastępca redaktora naczelnego Jerzy Mirecki. Z bijącym sercem, bo to nigdy nie wiadomo, kto i co na człowieka nagada — zjawiłem się przed jego obliczem. Dostrzegłem przyjazny błysk w oczach i życzliwy uśmiech.

— Proszę ja was... — zaterkotał Jurek swoje wyświechtane powiedzonko, w którym gubił literkę „j" i wychodziło z tego coś w rodzaju „proszeawas" — mam dla ciebie zadanie specjalne. Na kolegium postanowiliśmy, że ty to najlepiej wykonasz. Masz specjalne upoważnienie — podał mi pisemko na firmówce — niech ci sekretarka wypisze delegację na dwa tygodnie i do roboty! Jedź gdzie chcesz, rób co chcesz, ale za 14 dni chcę widzieć w redakcji dziesięć najpiękniejszych dziewczyn ziemi rzeszowskiej. Sprawę stawiam chyba jasno? Jeżeli zadania nie wykonasz, możesz więcej do roboty nie przychodzić.

Oszołomiony niespodziewanym zadaniem, jakie na mnie znienacka spadło, spojrzałem na treść pisma:

„Redakcja „Nowiny Rzeszowskie", jako współorganizator wyborów miss województwa rzeszowskiego, upoważnia red. Juliana Woźniaka do załatwiania wszelkich formalności związanych ze zgłaszaniem się kandydatek do konkursu".

... dalej podpisy redaktora naczelnego i sekretarza redakcji Edmunda Gajewskiego. Zastanowiłem się dlaczego ja, a nie właśnie ON, wybitny spec w branży?! Kolegium redakcyjne było widocznie innego zdania, a może, po prostu, red. Gajewski był wówczas w niedyspozycji? Zdarza się.

Przypomnę, że w 1958 roku przystąpiono po raz drugi w naszym kraju, w okresie powojennym, do wyborów Miss Polonia. W odróżnieniu od roku poprzedniego, kiedy to „miskę" wybrano z wąskiego grona kandydatek, tym razem postanowiono operację wyborów przeprowadzić w sposób bardziej demokratyczny, by szansę dobrnięcia do eliminacji centralnych stworzyć pięknościom z najdalszych zakątków kraju. Dlatego właśnie do współudziału w organizacji wyborów najpiękniejszej Polki wciągnięto redakcje pism terenowych. Finał konkursu miały poprzedzić eliminacje wojewódzkie i najpiękniejsze z wszystkich województw wchodziły do krajowego finału.

Do wykonania zadania specjalnego przystąpiłem ochoczo i z pełnym zaangażowaniem. Tym bardziej że Jurek Mirecki podbudował mnie duchowo jednoznacznie brzmiącym stwierdzeniem: „Wszystkie koszty pokrywa redakcja. Nie zapomnij tylko o rachunkach. I aby alkoholu nie za wiele było do picenia"...

Jarosław, Przemyśl, Sanok, Krosno, Mielec, Dębica, Tarnobrzeg... Dziewczyny, dziewczyny, dziewczyny... W efekcie po dwóch tygodniach, nie bez kłopotów zresztą i ciekawych przygód, ale to już inny temat — „zadanie specjalne" wykonałem! Wkrótce w wypełnionej po brzegi hali widowiskowej przy ulicy Lwowskiej w Rzeszowie odbyły się wybory miss województwa rzeszowskiego. Co prawda nie było wówczas jednomyślności ocen, zarówno ze strony jury, któremu przewodził dyrektor rzeszowskiego teatru Hugon Moryciński, jak i publiczności, bo to nie wszystkim naraz można przecież dogodzić, ale werdykt jest werdyktem i w finale konkursu Miss Polonia 1958 województwo rzeszowskie reprezentowała Wiesława Pudłówna z Mielca.

I ja tam byłem i toast koronacyjny wypiłem, gdyż miałem zaszczyt w jury konkursu reprezentować wszystkich koneserów urody kobiecej z południowo-wschodniego regionu. Wybory odbyły się 6 września w Warszawie, na „Torwarze" Połączono je z występami doskonałych artystów: Ludwika Sempolińskiego, Wiesława Michnikowskiego, piosenkarki Hanny Rek oraz zespołu New Orleans Stompers. Publiczność skupiła jednak całą uwagę na mocno stremowanych kandydatkach na miss, które prezentowały się trzykrotnie: w sukniach wieczorowych, strojach z różnych epok historycznych i kostiumach kąpielowych, a to trzecie wyjście było przez publiczność przyjmowane z zainteresowaniem szczególnym. Rywalizacja była wyrównana. Od początku nie było zdecydowanej faworytki, jednak już po pierwszej prezentacji dało się zauważyć, że „walkę" o koronę rozstrzygną między sobą: Krystyna Żyła z Krakowa, Danuta Karolkiewicz ze Szczecina, Krystyna Zajkowska z Łodzi, nasza Wiesława Pudłówna i Zuzanna Cembrowska z Warszawy.

Widownia najgoręcej przyjmowała reprezentantkę Krakowa. Każde pojawienie się na estradzie reprezentantki Rzeszowa przyjmowane było równie serdecznie i oklaski, jakie pani Wiesława otrzymywała od warszawskiej publiczności należały do gatunku „gorętszych". Decyzja należała jednak do jury, w skład którego wchodzili m. in. Jerzy Kawalerowicz, Jan Brzechwa, Adam Hanuszkiewicz, Kazimierz Krukowski i Józef Prutkowski. Oceniano figurę, twarz i wdzięk. O zdobyciu tytułu najpiękniejszej Polki decydowała ogólna suma zdobytych punktów. W efekcie tytuł Miss Polonia 58 (i 20 tys. zł nagrody) przypadł Zuzannie Cembrowskiej z Operetki Warszawskiej, choć publiczność głośno i niebezpiecznie dla jurorów wyrażała swoje niezadowolenie z tego werdyktu, domagając się koronacji przedstawicielki Krakowa. Wiesława Pudłówna zajęła piąte miejsce.

A jak będzie w tym roku, po 25 latach od tamtych wyborów, w trzeciej emisji konkursu Miss Polonia? Ano, zobaczymy.

JULIAN WOŹNIAK

Czy jej właśnie nazwisko uświetni ten tytuł? *Fot. IRENEUSZ RADKIEWICZ*

szkice węglem Jes

Jan BRZYZKI — działacz społeczny z Kolonii Polskiej (woj. rzeszowskie) członek Narodowej Rady Kultury.

STARE NA NOWE

Balanse i NIUANSE

REFORMA MYŚLENIA

Reforma gospodarcza, gigantyczny eksperyment, który ma przynieść trwałą poprawę naszych warunków życiowych, obfituje w różne zaskakujące momenty. Dążące do samodzielności, samorządności i samoopłacalności fabryki, przedsiębiorstwa i instytucje szukają dróg, aby jak najlepiej wychodzić na swoje. Obśmiano już dostatecznie ceny, brane z sufitu, co wprawdzie (to „obśmiewanie") niewiele pomogło, ale niekiedy jednak. Innym powodem do kpin może być regulowanie stanu zatrudnienia, pozostawione decyzji zakładów. Niektóre z nich doszły do wniosku, że w dobie reformy muszą zatrudnić więcej pracowników. I tak pewien zakład zwiększył załogę robotniczą o 2,2 proc., a administrację o 29,3 proc., tłumacząc się niby dość logicznie, że musiano w zakładzie odtworzyć te komórki, które istniały wcześniej w instancji nadrzędnej, obecnie już nie istniejącej. Nie jest to przykład odosobniony. Niedawno opowiadał mi pewien emerytowany dyrektor zespołu szkół, że za jego czasów administracja liczyła tam 5 osób, a obecnie 30.

Istnieją wszakże inne przykłady. Wyczytałem w „Przeglądzie Technicznym", że odnotowano pierwszy przypadek wystąpienia zakładu przemysłowego ze zrzeszenia. Są to Łódzkie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju. Uchwałę o wystąpieniu z dobrowolnego zrzeszenia Producentów Wyrobów Bawełnianych i Bawełnopodobnych podjęła Rada Pracownicza. Powód? Analiza wykazała, że płacąc na utrzymanie tegoż zrzeszenia 1,3 mln zł rocznie, zakłady nic w zamian nie otrzymywały. Przez 10 miesięcy zrzeszenie nie zorganizowało zaopatrzenia, nie rozdzielało surowców, nie zrobiło nic w sprawie serwisu technicznego, ani w dziedzinie promocji eksportu. Wszystkie te zadania wykonywały zakłady samodzielnie. Nawiązały kontakt z przedsiębiorstwem „Surter", rozdzielającym surowce, przystąpiły jako wspólnik—udziałowiec do PHZ „Tertil-impex", zajmującym się eksportem, i do tworzącej się spółki Obsługi Technicznej. W tej sytuacji płacenie haraczu na utrzymanie urzędników zrzeszenia uznano za nonsens nie tylko ekonomiczny.

Można i trzeba tak. Może przykład ten podziała na zrzeszenia, może unaoczni zatrudnionym tam urzędnikom, że powinni pracować a nie pobierać pensje za samo istnienie.

Przykłady, i ten o powiększaniu liczby pracowników administracji i ten o zdrowym odruchu samorządu pracowniczego, świadczą o różnym pojmowaniu reformy, samodzielności, o zdrowym rozsądku wreszcie.

Reforma spędza sen z powiek ogromnej liczbie ludzi, działających w różnych sferach życia społecznego. Przyzwyczajeni przez dziesiątki lat do nakazów, dyrektyw, odgórnych planów — nie potrafią przez kilka miesięcy odzwyczaić się od tamtego stanu. Może, gdyby mogli przestawiać tok swego myślenia przez następne dziesiątki lat, potrafiliby odkryć prawidła nowego systemu gospodarczego, ale na tak długie przestawianie się nie ma czasu...

Jest jednak czas po temu (i to czas najwyższy), aby samorządy pracownicze poddawały analizie działalność swoich przedsiębiorstw. I to nie tylko pod kątem zarobków zakładu i załogi.

Reforma, choć nie jest na pewno tak idealna jak byśmy sobie życzyli, może stać się jednak szkołą racjonalnego myślenia. Przyzwyczajanie do takiego myślenia powinno zaczynać się od dziecka, w rodzinnym domu, w szkole. Pobudzaniu szarych komórek do myślenia służyć winna kultura we wszystkich jej przejawach, od literatury począwszy, poprzez teatr, kino etc.

Pobożne są to życzenia, bo zbyt głęboko myśleć jakoś nie bardzo nam się chce. A jeżeli już, to o sobie i własnych korzyściach. Trudno jest zadawać sobie pytanie „co inni będą z tego mieli"?, pytamy raczej „co ja będę z tego miał?"

Truizmy zbywane są pogardliwym wzruszeniem ramion. Najłatwiej bowiem wzruszać ramionami, kiedy znamy nawet jakąś prawdę, lecz lenistwo powstrzymuje nas od stosowania jej w życiu.

PASSUS

Listy do przyjaciela

Jak dobry kawał brzmi. Przyjacielu, opowieść znajomej bibliotekarki, o tym dniu, kiedy do księgarni przyszła „Encyklopedia" i „Dobry wojak Szwejk" W kolejce grubej i zwartej, co i raz przed ladą padało:

— Poproszę „Szwejka", poproszę „Szwejka"...

Człowiek, stojący przed bibliotekarką, nagle nie wytrzymał, obrócił się do niej i zapytał:

— Co to jest ta szwajka, proszę pani?

Po wyjaśnieniu, oczywiście „szwajkę" kupił...

To że „szwajka" wędruje pod strzechy — to akurat bardzo dobrze. I bardzo dobrze, że Miłosz wędruje pod strzechy, że „Malarstwo polskie" wędruje pod strzechy, że „Polaków portret własny" wędruje też i że wędruje monografia o Sobieskim, o Skardze, o Katarzynie Medycejskiej.

Trochę gorzej, gdy w znajomym domu w całej serii biografii udatnie zgromadzonych, przeglądając je kiedyś w takim zacnym komplecie, już pierwsze strony znalazłam zwarte, sklejone, nienaruszone od momentu, gdy opuściły introligatora.

Nie jest dobrze, gdy „Dolinę Issy" handluje chłopak na targu.

I nie jest dobrze, gdy „Polaków portret własny" staje się towarem.

Bo, niestety, wędruje pod strzechy nie słowo — lecz lokata kapitału, im piękniejsza edytorsko — tym droższa potem w obiegu. Oczywiście, że to się kiedyś unormuje, ale ile straci w międzyczasie nerwów prawdziwy bibliofil, a każdy czytelnik, chłonny intelektualnie, ilu rzeczy jest pozbawiony — to wiedzą tylko oni.

Kiedyś, przed laty, pisywałam Ci Drogi o pożytkach płynących ze snobizmu, który zawsze uważałam za objaw ekspansji kultury.

Zmieniam zdanie, kiedy baba z koszem wyrywa mi z ręki „Drugi dywan perski", a baba z bańką wyciąga z tej bańki niezbyt czystą płachtę, w której zawija „Polaków portret własny". Przyrasta wtedy jeszcze jeden portret do kolekcji — Polaka portret wycwaniony, który wywęszy towar nawet na pustyni.

To drażni, choć to się daje jeszcze zrozumieć.

Ale nie daje się zrozumieć taki wizerunek Polaka, który doskonale wie, co wypada mieć, zarazem doskonale się obywając bez tego, co wypada wiedzieć. Przypominają się wtedy małpy, ptaki i ssaki poniektóre, co gromadzą, gromadzą, gromadzą...

Ze smutkiem patrzę na ludzi, którzy się męczą na spektaklach i przysypiają na koncertach, ale trwają jak opoki na wszystkich głośnych imprezach, by potem u Kowalskiej przy whisky and soda mieć modny temat, jak ta aktorka Dymna, taka świetoszka, mogła takie świństwa wyprawiać na „Zwierzeniach clowna"... .

A tymczasem gromady innych ludzi, tych mniej zaradnych, mimo że z otwartymi głowami, odchodzą bez biletu od kas, bez książki od lady.

Zmieniłam tedy zdanie, Drogi, na temat zdrowych snobizmów, bo nas w tej chwili po prostu nie stać na snoba, gdy inteligentny człowiek jest niezaspokojony w swoich intelektualnych potrzebach. I szlag człowieka trafia, gdy znajoma paniusia wymienia „szwajkę" na rajstopy, a „Muzea Watykanu" za dobrze podwędzony boczek.

I nie stać nas także na to, by młoda studentka nie wiedziała, kto to jest Heinrich Böll, czy w „Jeremiaszu" Karola Wojtyły mówi się autentyczne kazanie Skargi i siedziała na spektaklach spotkań teatralnych z pustymi oczami, które tylko świdrują w tę stronę, gdzie widnieje Kowalska, czy też Kowalska dostrzegła jej nową szmatkę. I by ta młoda studentka miłośnie gładziła grzbiety parotomowego Norwida, ustawionego paradnie w regale obok Levi-Strausa, który się myli z firmą dżinsową Strausa i Levisa. Wieje wtedy smutkiem tropików w bynajmniej nie gorącym kraju. Ale to jest temat już na inne opowiadanie.

Co i napisawszy, idę po prośbie, kto pożyczy Sobieskiego i Skargę, a Tobie mówię pośpieszne do widzenia.

KRYSTYNA

wiadomości samowolne

ZWYCIĘZCY

Jak się okazało z plebiscytu, ogłoszonego wśród widzów XXII Rzeszowskich Spotkań Teatralnych, w którym to plebiscycie oddało swe głosy 125 osób, najlepszym spektaklem Spotkań były „Powsinogi beskidzkie" w wykonaniu zespołu Teatru im. W. Siemaszkowej. Najlepszą aktorką Spotkań okrzyknięto natomiast Annę Dymną z Krakowa.

Brawo! Możemy liczyć na występy w Teatrze Rzeczypospolitej Panią Annę Dymną zachęcamy do podpisania na przyszły sezon kontraktu ze sceną rzeszowską. Co najmniej 125 widzów przychodzić będzie tłumnie na spektakle z jej udziałem.

COŚ Z PROBLEMATYKI MIESZKANIOWEJ

Głowią się różni ludzie, jak w miarę szybko zaspokajać głód mieszkaniowy, a tymczasem jest to sprawa dość prosta: każdy kto pragnie szybko zamieszkać pod własnym dachem, winien na jakiś czas wyjechać do tzw. drugiego obszaru płatniczego, względnie wejść w posiadanie samochodu wysokiej klasy zachodniej. Jeżeli spełni choć jeden z tych warunków, może mieć sprawę mieszkania z głowy. Wystarczy, że zainteresuje się ogłoszeniami, np. w „Życiu Warszawy". Ostatnio zauważyliśmy tam takie oto oferty: „Atrakcyjne M-4 sprzedam powracającemu" (wiadomo skąd), albo „Atrakcyjne dwupoziomowe mieszkanie... sprzedam powracającemu z zagranicy", czy też „dom, 180 m kw., 6 pokoi, 2 kuchnie (!), komfortowe, ogród 1 500 m kw — sprzedam (w rozliczeniu może być Mercedes)".

Nie bardzo wiemy, jak wyglądają oferowane w innym ogłoszeniu „amatorskie wille w Ursusie, Milanówku, Ożarowie, Leśnej Podkowie, dom w stanie surowym... działki w Grodzisku, domy w Piastowie oraz działki budowlane w Pruszkowie"... — które chce koniecznie sprzedać jeden człowiek, ale zachęcamy do nawiązania z nim kontaktu.

Radzimy koniecznie czytać ogłoszenia „lokalowe". Pozbędziemy się czarnowidztwa, przestaniemy psioczyć na budownictwo i położymy tamę nieodpowiedzialnym insynuacjom środków masowego przekazu, jakoby w kraju brakowało mieszkań.

POMYSŁY CHODZĄ STADAMI

Jeden z naszych współpracowników, biegły w innym (poza polskim) języku, przeczytał lat temu kilka w „Playboyu" taką oto historyjkę:

Barman podaje gościowi rachunek. Gość skarży się, że Nowy York jest najdroższym miastem świata, w przeciwieństwie do Sioux City, gdzie można bezpłatnie wypić tyle, ile się chce, wyspać się za darmo w luksusowym hotelu, a następnego ranka znaleźć na poduszce banknot 50-dolarowy.

— Niech pan nie opowiada — nie dowierza barman. — Czy pan sam kiedyś to przeżył?

— Ja nie — przyznaje gość — ale mojej żonie zdarza się to za każdym razem...

W ostatnim numerze „Szpilek" rubryka „Dziennik zażaleń" przynosi natomiast opowiastkę o pewnym urzędzie, gdzie, jak opowiada pan Wiwat „wchodzi pan i zaraz dyrektor przybiega, żeby się dowiedzieć w czym można panu pomóc. Prosi pana do gabinetu, kawka, koniak, miła rozmowa. Tymczasem urzędnicy załatwiają co trzeba. Kiedy już wypiszą zaświadczenie, odwożą pana do domu, czy gdzie pan sobie życzy, służbowym samochodem"... i dalej: „nazajutrz dyrektor odwiedza interesanta w domu, żeby upewnić się, czy zaświadczenie dobrze było wypisane i czy nie było z tym zaświadczeniem żadnych kłopotów... Jeszcze prosi pana do teatru i na kolację, żeby zacieśnić więzy urzędu z obywatelem. Wraca pan paniusieńku na jego koszt do domu".

Na zakończenie czytamy: „Ciekawie pomyślane — powiedziała baronowa Sołowiejczyk. — Był pan w tym urzędzie?

— Nie — odparł pan Wiwat. — Siostra opowiadała.

Jak z tego widać, pomysły chodzą stadami, a stwierdzenie Ben Akiby, że wszystko już było, raz jeszcze zostało udowodnione.

NADCZYSTOŚĆ

Cytat: „Kadra inżynieryjno - techniczna i załoga bydgoskich zakładów „Polleny" staje przed zaskakującą sytuacją: wstrzymana została produkcja proszku do prania. Nie z powodu braku surowca, braku ludzi czy braku części zamiennych. Z powodu nadprodukcji tego artykułu!".

Łza się w oku kręci! Nadprodukcja w dobie kryzysu! I to nie tylko w bydgoskich, ale i innych zakładach produkujących środki czystości. A jeszcze tak niedawno grzmieliśmy wielkim głosem na zbyt niskie przydziały mydła i proszków do prania! Co się dzieje? Czyż w okresie małych przydziałów tak się wymyliśmy, wykąpaliśmy i wypraliśmy wszystko co trzeba, że oprócz nadprodukcji pojawiło się także zjawisko nadczystości? Handel magazynuje krajowe środki czystości, rzuca na rynek importowane, bo droższe, a tych droższych nikt tak znowu nie wykupuje. Najtęższe głowy zastanawiają się nad tym fenomenem.

HASŁO TYGODNIA

Pracujmy intensywnie do godz. 13. Skrócimy przez to czas oczekiwania.

Redaguje Serwacy Potulny z podzespołem